

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

RD-1998



002-0002245--00

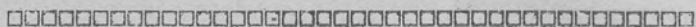
WŁODZIMIERZ-SULIMA POPIEL.

W SIDŁACH DYABŁA

POWIEŚĆ Z CZASÓW WOJNY,
MIĘDZY ŁAŃCUCKIM DYABŁEM-STADNICKIM,
A LEŻAJSKIM STAROSTĄ OPALIŃSKIM.

[ROK 1604—1610.]

NAKŁADEM POLSKIEJ KSIĘGARNI „STELLA” W CIESZYNIĘ.
CZCIONKAMI DRUKARNI TOW. DOMU NAROD. P. (MITREGI)
W CIESZYNIĘ.



Tegoż autora:

OFIARNY STOS — powieść do obrazów Artura Grottera „Polonia“ i „Lituania“. (Wyczerpane.)

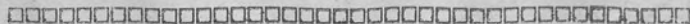
NA FALACH ŻYCIA — nowele i szkice. (Wydawnictwo „Kuryera lwowskiego“.)

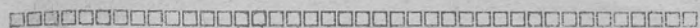
KRWIĄ I ŁZAMI — szkic powieściowy z ostatniej doby Legionów polskich. (Nakład polskiej księgarni „Stella“ w Cieszynie.)



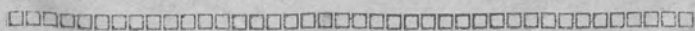
R-1998

2245

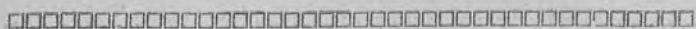




W SIDŁACH DYABŁA







— Sprawiedliwość, raz już stać się musi — wołał przyciszonym głosem. — Według praw boskich i ludzkich, musimy uznawać nad sobą zwierzchnika, ale oddawać kark całkiem pod obrożę bezprawia, to hańba dla człowieka! Dość już krwawicy chłopskiej najedli się starościńscy dzierżawcy i ekonomowie, dość już tej krzywdy biednego ludu! Ale nie pomoże wam wyzywać tylko zmiłowania bożego, jeżeli sami nie będziecie bronić się przed wyzyskiem krzywdzicieli.

— A cóż nam czynić potrzeba dobrodzieju? — zagadnął stary, siwy jak gołąb Kulpa.

— Co? Obaczycie wnet. Wrócą wasi wysłańcy, którzy zawieźli skargi do króla i pewnie przywiozą glejt przeciw staroście Opalińskiemu. Król miłościwy nie dozwoli przecie, aby was dalej krzywdzono.

Pokiwał Kulpa smutnie głową.

— Nie pomoże to nic dobrodzieju, nie pomoże. Niedawno przecie, gospodarze z innych wsi ze skargą jeździli. Król dał im mandat przeciw staroście, a ekonomowie, za to teraz wysłańców w tarasach zamkowych trzymają, biją ich i sieczą, mszcząc się za skargi zanesione przed oblicze królewskie.

— To nie macie na to rady, aby wyroki i pisma królewskie uszanowali starościńscy pachol-kowie?

— Ano niema — odparli chórem gospodarze.



przeciążaniem pracy, bo bez względu na to, czy posiadał który we wsi cały łąn, półłanka, albo nawet ćwierćłanka, kazano mu robić na pańskim nawet po cztery i pięć dni tygodniowo.

Jak z jednej strony, wzdrygali się jakoś w duchu podnosić bunt przeciw starości i odmawiać mu posłuchu, wiedząc, co czeka ich za to potem od ekonomów, tak z drugiej strony znów, słowa księdza napawały ich ufnością.

Znali go nie zbyt dawno. Objeżdżał potajemnie wsie, pocieszał lud, pouczał, troskał się o ich dobro, a w ostatnim czasie doradzał im do wniesienia skarg przeciw zamkowi, bo cierpliwość prześladowanych już się wyczerpała. Wiedzieli, że dba o nich i dobrze im życzy — więc mu ufali.

Ale strachem przejmowała ich pamięć o tem, że za jego radą uzyskali również chłopci z Dębna glejt przeciw starości, a skutek z wniesionej skargi przed króla był taki, że podstarości Grabiński kazał oskarżycieli wszystkich dostawić do Leżajska, gdzie publicznie na rynku obito ich moczonymi powrozami, a następnie osadzono w wieży.

— Żebyście wy tutaj, nie tylko listy, ale nawet samego króla ze sobą przywiedli — krzyczał do chłopów Grabiński — to i on wam nic nie pomoże, bo my tutaj panujemy, a nie on!

Więc serca Giedlarowian napelniały się lękiem, aby podobny los nie spotkał obecnie i ich



wysłańców do króla, których powrotu każdego dnia oczekiwali.

Książd milczał i czekał długą chwilę, aż który z nich się odezwie, ale żaden głosu nie zabierał.

Więc począł im przedstawiać znowu, jaka dola czeka ich dzieci i wnuków, jeśli teraz nie wywalczą im praw ludzkich. I prawił im długo, przemawiał do serca, krzepił otuchą, dowodząc, że powinni raczej teraz przecierpieć, a choćby nawet i w tarasach zamkowych posiedzieć i bicie znosić, byle tylko nakłonić panów do ustępstwa i uznania ich za ludzi, godnych należnych im praw.

Ostatnie słowa podziałały na chłopów.

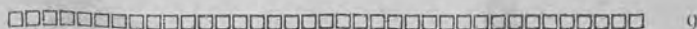
Podnieśli śmieiej czoła, oczy im się zaświeciły.

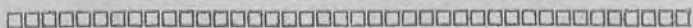
— Prawdę mówicie dobrodzieju! — ozwał się po długiej chwili gospodarz Kupras. — Bo skoro ma być naszym dzieciom taka sama dola, jak nam, to lepiej nie żyć. Radzicie nam dobrodzieju iść z uporem przeciw zamkowi, to pójdziemy, bo jeżeli będziemy siedzieć beczynnie, cicho, to nas zgniota. Postawi się ostro jedna gmina, druga i trzecia, będą może musieli wszystkim coś pofolgować, bo nie sposób będzie ekonomom prowadzić wojnę z mnogim narodem.

— Prawdę mówicie szczerą — potakiwał poważnie Kulpa.

— Ale zgodnie i wraz! — dorzucił sąsiad.

— Tylko wy dobrodzieju, nas nie opuszczajcie! — zawołał jakiś gospodarz.





Ksiądz uśmiechnął się łagodnie i począł ich zapewniać, że znowu wkrótce do nich z radą przybędzie. Wreszcie podniósł się z ławy.

— W drogę mi już czas, bo noc późna, a w Dębnie jeszcze mnie dziś czekają.

Poczęli go żegnać. Obejmowali mu nogi, kłaniali się do ziemi i prosili, aby o nich nie zapominał.

Ksiądz ogarnął się kapotą i wyszedł, a za nim rozeszli się wszyscy gospodarze.

Wnet rozległ się turkot kół odjeżdżającego wozu i, rychło umilknął w oddali.

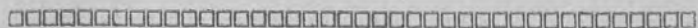
W najbliższą niedzielę — późno wieczorem — zaludniło się znowu w tej samej izbie.

Starzy i młodzi, cisnęli się do wnętrza chaty, chcąc dowiedzieć się czegoś ciekawego o postanowieniach, jakie miały zapaść.

Stary Kulpa głos zabrał.

Całą przemowę księdza, powtórzył tutaj i objaśnił wszystkim, jakie rady im dawał i poco kazał ich zgromadzić. Łzy w oczach stanęły całej gromadzie, kiedy ten siwy starzec, począł po kolei wyliczać i przypominać nieludzkie żądania ekonomów i ogromne krzywdy, jakie wszyscy we wsi od nich zaznali.

— Ośmdziesiąt lat żyję, tyle ciężkich chwil, tyle umartwień miałem w życiu, a jednak nie pamiętam, aby działo się tak źle, jak obecnie. Nie-dość, że prawie przez tydzień cały na starościń-



skim robić nam każą, to jeszcze i czynsze płacić musimy, od swoich własnych drzew opałowych dawać opłatę, na szarwarki chodzić, dziesięciny składać od barci, drobiu i zboża...

Po izbie poszedł szmer, wreszcie ozwały się pojedyncze głosy.

— Dość mamy już starostów i tego poddaństwa!

— Nie dajmy się ekonomom!

— Nie dajmy się, nie dajmy!

Kulpa kiwał głową.

— Dobrodziej nasz tak samo radził — mówił drżącym głosem. — Kazał nam wszystkim iść kupą przeciw zamkowi, gdyby nie zechciano uszanować rozkazu króla, jaki nasi gospodarze przywiożą.

— Pewnie nie uszanują oni pisma królewskiego! — zawołał ktoś z gromady.

— To po woli królewskiej będziemy robić! — dorzucił drugi.

— Koniec trzeba już raz z ekonomami zrobić!

— I sprawiedliwość znaleźć!

Młody, barczysty chłop, wysunął się z kąta izby i zawołał:

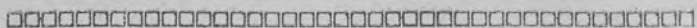
— Z nami pójdzie pewnie Dębno i Sarzyna!

— I Kuryłówka! — dorzucił inny.

— Skończy się panowanie ekonomów i podstarościch!

— I nasza bieda się skończy!

Zrobił się gwar.



Kulpa począł dalej przemawiać, ale własnych słów nie słyszał. Kupras wylazł na ławę i krzyczał, aby się uciszyło.

Dopiero po długiej chwili poczęli się uspokajać.

Wtedy dopiero przedstawił Kulpa, poco się właściwie zebrali i zaproponował, aby wybrać kilku wysłańców do innych gmin, w sprawie wzajemnego porozumienia. Wnet ugodzono się i wybrano po dwu starszych gospodarzy do każdej gminy.

Ostatecznym dniem do działania, miał być powrót delegatów od króla. Gdyby na zamku nie zechciano uszanować zlecenia królewskiego, a delegatów z glejtem podobnie karano, jak wysłańców z innych gmin, postanowiono stawić zamkowi opór.

Późno zakończyły się obrady w izbie Kuprasa.



księdza Prokopa, jak i mandatami królewskimi, zjawili się w mieście gromadnie, w nadziei, że pokonają już nareszcie bezprawia ekonomów zamkowych.

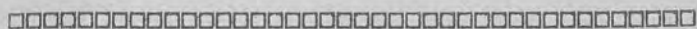
Urzednicy królewscy, pytali kolejno każdego, spisywali krzywdy, a chłopci radzi, że raz przecie mogą się pożalić, dali upust skargom i wypowiedali wszystkie swoje serdeczne bóle. Po ich stronie był teraz sam król i jego sekretarze, był cały tłum ludu okolicznego. Czuli się więc w prawie, a strach przed ekonomami, jaki do niedawna w ich sercach pokutował, zmalał zupełnie.

To też hardo i buńczucznie gwarzyły sobie gromady na rynku leżajskim, bo otucha opanowała wszystkich.

Tymczasem na zamku podstarości Grabiński, oraz zarządca zamkowy Głuchowski, siedzieli sobie w świetlicy przy szklanicach i uradzali, jak mają prowadzić dalszą akcyę z chłopami. Obaj prześcigali się w wymysłach i przekleństwach, miotanych na chamskie głowy.

Bunt chłopski — jaki z powodu ich rządów powstał po wsiach okolicznych — doprowadzał ich do wściekłości.

Sam starosta Łukasz Opaliński, przesiadywał sobie stale w swojej rezydencyi w Łące, obok Łańcuta, gdy tymczasem cała gospodarka w Leżajsku, zdana była na ich ręce, a oni, z arendarzem Marcinem Kołaczkowskim, przemysłiwali tylko nad tem.



jakby można było najbardziej wyzyskać poddanych chłopów.

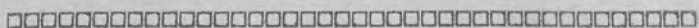
Co Grabiński z Głuchowskim postanowili, to znajdowało wykonawcę w osobie Kołaczkowskiego.

Skargi zanesione przez chłopów do króla, wzburzyły do głębi reprezentantów zamku leżajskiego. Radzili więc nad sposobami, mającymi na celu zgniecenie chłopskiej buty, i pozostawienie im na długo pamiętki, że przeciw władzy pańskiej, nie należy powstawać.

Przez cały czas rozprawy, jaką prowadzili z chłopami urzędnicy królewscy u burmistrza Godlewskiego, był niemym świadkiem wszystkich przesłuchiwań arendarz Kołaczkowski. Przyczajony w kącie izby, notował sobie w pamięci zeznania każdego gospodarza, i co pewien czas biegał z relacją do Grabińskiego, obradującego z Głuchowskim przy szklanicy na zamku. Tam całą sprawę przerabiano ponownie, i wydawano naprzód już wyroki — na zbuntowanych chłopów.

Podstarości pieniał się, kłął i pięścią bił o stół; twarz jego czerwona, obrzękła, nabrała koloru granatowego, sumiaste wąsy, najeżyły się srogo, a oczy krwią nabiegłe, ciskały gromy.

— Niech tutaj nawet sam król zjedzie — krzyczał podniecony — to my sobie z jego rozkazów wiele robić nie będziemy! Kto urodził się chłopem, ten niech wie, że panom tak służyć musi, jak mu rozkażą!



— Świętą prawdę waszmość mówi — poderwał z kąta Kołaczkowski.

— Sprawiedliwie, jak Boga Kocham! — dorzucił Głuchowski, cienkim, gardłowym głosem.

— Sekretarzom, królewskie sprawy rozpatrywać, a nie nasze sądy prowadzić, bo tutaj my sami pany i króle! — dowodził dalej starostka.

— Ci urzędnicy królewscy, tylko zgorzenie sięją między chłopami — począł narzekać Kołaczkowski, targając się za brodę. — Posłuchu teraz na wsi nie znajdziemy, bo chłopci zasłaniać się będą mandatem.

Grabiński machnął ręką drwiąco.

— Pojadą sobie sekretarze, to wtedy my będziemy pisali mandaty na chłopskiej skórze. Bojnicza zamkowa prawie pusta, to ją wnet chamami zaludnimy.

— Za łeb chamów, za łeb! — zawtórował piskliwie rezydent, chowając nos w szklanicy.

Kołaczkowski począł oponować.

— Nie starczy nam miejsca ani w bojnicy, ani też w całym zamku. Przecie całych wsi nie pozamykamy.

Podstarości wysnął oczyma i pięścią w stół uderzył.

— Waść, nie dałbyś pewnie sobie rady mości Kołaczkowski, bo chciałbyś wszystkim opornym zaraz jednako płacić.

— Naco kto zasłużył.



— A więc sprawa nie tak trudna. Buntowniczych hersztów dostawić pod klucz, a tych, którzy im posłuch dają, należy na rynku oćwiczyć. Porządek przecie być musi, więc jak chamy słuchać nie chcą, to trzeba im przypomnieć, że jest ktoś, co im rozkazywać powinien.

— Sprawiedliwie, jak Boga kocham! — odezwał się senny głos rezydenta, który wsparty na poręczach krzesła, począł drzemać.

Podstarości powstał, wychylił do dna szklanicę, poczem zwrócił się do Kołaczkowskiego.

— Idź waść i bacz dalej na te chłopskie sądy. Pamiętaj jeno głównie o tych, co najbardziej między motłochem przewodzą.

Arendarz zniknął za drzwiami.

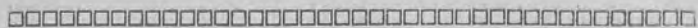
Grabiński chodził długo po izbie, szarpał wąsy i pomrukiwał coś pod nosem, wreszcie przystanął przed rezydentem.

— Mości panie Głuchowski! — zawołał podniesionym głosem.

Ten ocknął się, podniósł głowę i otworzył senne oczy.

— Chciałem się zapytać, czy waści wiadomo jest o tem, że burmistrz Godlewski, który gości dziś u siebie królewskich sekretarzy, znowu zachodzi coraz częściej pod zamek, gdzie rada mu wielce waścina córka, oczekuje go często, i mile czas z nim spędza.

Głuchowski porwał się z krzesła.



— Co waść prawisz, hę? Moja Anka z burmistrzem czas spędza? Tać to kalunnia! Ja od waści porachunku zażądam, za pomawianie mojej córki o miłosne schadzki!

— Wpierw musiałbyś mi waść dowieść, że nieprawdę mówię — począł drwiąco podstarości, wzięwszy się pod boki.

— Dowieść waści dowiodę, ale i uszy obetnę, sprawiedliwie, jak Boga Kocham!

— Ostaw waść uszy na ostatek, a teraz lepiej pilnuj, aby leżajski burmistrz wianka waścinej córki nie popsował.

— Niedoczekanie jego!

— Robię tylko przyjacielską uwagę. Niemasz się waszmość czego rzucać i groźbami ciskać! Wpierw przekonaj się waść, czy sprawiedliwie ostrzegłem, a groźby ostaw na potem.

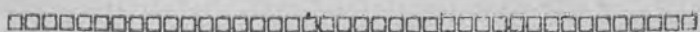
Słowa Grabińskiego dziwnie podziałały na podpitego rezydenta. Jakieś jasne przebłyski trzeźwości poczęły świecić w jego głowie. Troska o córkę jedynaczkę i nienawiść, jaką żywił do burmistrza, poruszyły go do głębi. Staął więc przed Grabińskim i ozwał się nieco spokojniej.

— Powiedz-że mi waszmość, ale prawdę, tak, Bogiem się świadcząc, kto moją Ankę pomówił o schadzki z Godlewskim?

— Widziałem ich sam, na własne oczy!

— Waszmość widział?

— Tak, widziałem, jakem Grabiński! Wczoraj



właśnie, przed wieczornem obwołaniem godziny przez wartowników, stała właścina Anka z burmistrzem za bramą zamkową.

— Widział waszmość dobrze, że to oni byli?

— Jakem żyw! Umyślnie baczyłem na oboje.

Rezydent długą chwilę chodził, zastanawiał się i tarł czoło, wreszcie przystanął i wpatrując się badawczo w Grabińskiego zapytał.

— A może waszmość, aby wzniecić we mnie złość na burmistrza, nie szczędziłeś osoby mojej jedynaczki?

Grabiński się obruszył.

— A cóżto waść myślisz sobie o mnie, że mając porachunki z Godlewskim, nie znalazłbym już innej drogi do pomsty na nim? Mam wprawdzie żal do właściny córki, że pogardziła moim afektem, ale przecie jestem chłop nie ułomek i szlachcic, toć znieść potrafię mężnie taką odprawę.

— Dziwię się naprawdę — odparł rezydent — że waszmość, licząc więcej lat odemnie, masz jeszcze ochotę, do młodej dziewczki się zalecać.

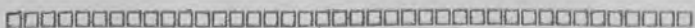
— Ja tam cudzych lat nie liczę, więc proszę moje ostawić w spokoju.

— Ale przyznasz waszmość, żeś już nie dia ośmnastolatki?

— Kto wie, może i młodsza mi się dostanie.

— Chyba gwałtem, z tytułu podstarościńskiej władzy!

— Wypraszam sobie u waszmości podobnych



uwag. Zrobiłem wzmiankę o Godlewskim z życzliwości, a nie na to, aby mnie podobna podzięką spotkała.

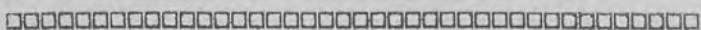
— To też jestem waszmości za życzliwość wielce zobowiązany; dziewczynę przypilnuję, a burmistrzowi, jeśli ułapię go na zalecankach, uszy obetnę. Ankę przyobiecałem już dawno Czerskiemu, więc jego teraz rzeczą będzie dać baczenie na to, aby mu inny kozioł w kapustę nie wlaził.

Podstarości stał przy oknie i słuchał w milczeniu. Burmistrza miał on w sercu od dawna. Długi spór wiódł bowiem Godlewski z zamkiem, o wydanie mu porwanego i osadzonego w lochach pacholka. Głosił przytem po mieście, że on — Grabiński, uwodzi wszystkie zamkowe służebne dziewczki. Z tego powodu zwarli się już kilkakrotnie obaj w gwałtownej sprzeczce i rzucali się ku sobie, ale jak dotychczas, kończyło się zawsze wszystko tylko na ostrej wymianie słów.

W ostatnich czasach, nienawiść starostki do leżajskiego burmistrza, wzmożła się jeszcze bardziej.

Grabiński, aczkolwiek był już człowiekiem lat spóźnionych, zapalał gorącym afektem do Anki — córki rezydenta. I uroił sobie nawet początkowo, że dziewczyna nie jest mu obojętną i, że będzie skłonną go poślubić.

Tymczasem serce Anki, obrało sobie — jak na złość — Godlewskiego.



kając, odezwał się drwiąco, chodząc wielkimi krokami po komnacie.

— Co tam znaczą takie groźby? Nic! Waszmość będziesz się pienić i złościć, będziesz córce morały sypał, a burmistrzowi obiciem groził, a tymczasem skończy się wszystko na tem, że Godlewski w biały dzień uczyni rapt na waściny dom, dziewczkę porwie i uwiezie, a potem będzie ojca Anki w kumy prosił.

— Niedoczekanie jego! — wrzasnął z całych piersi Głuchowski, uderzając ręką o stół, że aż szklance zabrzęczały.

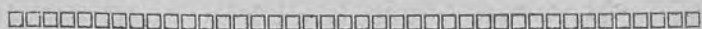
— Obaczysz waszmość, że tak się stanie. Toć przecie teraz jedyna taka droga dla zakochanych, jeśli rodzice dziewczki dać nie chcą. Wszędzie tak się dzieje. Ot, niedawno, wiadomo waści, że zrobił tak szlachcic Pawłowski. Wpadł do dworu starosty lubaczowskiego Jana Płazy w Dziewieńcyczach. dziewczkę Halszkę Lutosławską porwał, a potem w niespełna rok, starostę za kuma prosił.

— Niedoczekanie burmistrza, aby moją Ankę taki los spotkał! — wołał wzburzony rezydent. — Na marach radziejbym ją obaczył, jak jego żonę!

— Więc się waść spiesz i Czerskiego do ślubu nakłaniaj, aby mu burmistrz dziewczyny nie sprzątnął.

— Zrobię jak uznam za stosowne. A te amory drogo będzie musiał Godlewski opłacić.

— Ja także mogę przyczynić się czem ze swej



strony, jeśli waść i mnie do spółki przyjmiesz. Boć przecie i dla mnie to wielki dyshonor, że taki burmistrz, odsadził mię od dziewczki jak kota od sadła.

— Ani Godlewski, ani też waszmość sadła tego wachać nie będziecie. Dałem Czerskiemu szlacheckie słowo, toć go dotrzymać muszę!

Cicho, jak kot, wsunął się Kołaczkowski.

— Na dziś, sądom dano pokój. Jutro sprawy ukończą i odjadą królewscy urzędnicy — ozwał się z miną tajemniczą.

— Kat ich prowadź — burknął Grabiński.

— Jak te łańcuchowe psy, wszyscy przeciw nam ujadają — ciągnął dalej Kołaczkowski. — Zamek winien, że chłopom bieda, zamek, że nie mogą nadażyć robocie, zamek winien, że jakiś tam Kostek i Szczech pomarli, bo ich nasi hajducy pobili. Wszystkiemu winien tylko zamek. A wiecie waszmościo-
wie, kto był chłopskim doradcą?

Obaj spojrzeli pytająco na mówiącego.

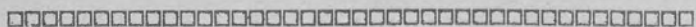
— Godlewski!

— Godlewski? — poderwali gorączkowo obaj.

— Tak, Godlewski. Z chłopami cały czas tylko radził, co ważniejsze sprawy do zeznań im podsus-
wał, a sam, nawet żalił się, za pojmanie mu i wię-
zienie pacholka.

Kołaczkowskiemu oczy świeciły się dziwnym blaskiem i widać było w jego twarzy, że przeciw osobie burmistrza pała również wielką nienawiścią.





Podstarości ujął szklanice, podniósł ją wysoko, spojrzał na rezydenta i zawołał:

— Na zdrowie nasze, a zgubę leżajskiego burmistrza!

— Na zgubę! Sprawiedliwie, jak Boga kocham! — poderwał Głuchowski.

— Czy w domu, czy w polu, czy w kościele, — ciągnął dalej Grabiński — oko baczne na niego mieć będziemy, a jeśli nam gdziekolwiek despekt jakowy uczyni, albo w czym się sprzeciwi, pojmniemy i jak chama zamkniemy do bojnicy.

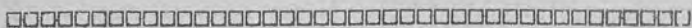
— Zamkniemy!

— I jak chama oćwiczym!

— Jak chama!

Obaj wychylili szklanice i z mocą postawili je na stole.





chłopi na rynek, wpadli obaj na koniach między nich, na czele gromady zamkowych hajduków.

Wszczął się ogromny zamęt.

Chłopi, nie spodziewając się napadu, poczuli strwożeni uciekać, chować się po sieniach, pchać się jedni przez drugich, a hajducy, bili ich postronkami po łbach i karkach.

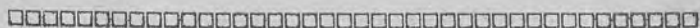
Grabiński z Kołaczkowskim na koniach, trawowali obalonych na ziemię i krzykiem zachęcali służbę do bicia.

— Choćbyście wy tutaj nawet samego króla zaprosili — krzyczał podstarości — choćby wam nawet sam papież glejty popisał, to wy, zawsze będziecie musieli tak robić dla zamku, jak się nam będzie podobało! Bo tutaj w Leżajsku jest dla was królem pan starosta Opaliński, a i ja sam, choć mniej znaczę, także jestem sobie mały król!

Kołaczkowski z hajdukami przytrzymywał wszystkich poważniejszych gospodarzy, którzy w czasie przesłuchiwań obciążająco zeznawali dla zamku, pojmał i delegatów, którzy skargi do króla zanosili; poczem uformował pochód i ruszyli środkiem miasta.

Z nahajem w rękę, jechał przodem Grabiński; za nim postępował cały szereg przelekłych chłopów, pędzonych przez hajduków, a w tyle, z miną tryumfatora, jechał na siwej szkapie Kołaczkowski.

Na dziedzińcu zamkowym, wyliczono wszy-



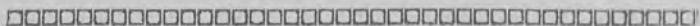
stkim — dla przykładu — równą ilość plag postronkami moczonymi w słonej wodzie. Los ten nie ominął ani siwego Kulpę, ani też Kuprasa.

A Kołaczkowski w wyliczaniu plag, był zawsze jednakowo sprawiedliwym. Ani starzec o siwej głowie, ani też pacholek, nie bywał wyróżniany, kiedy on spełniał rolę sędziego. Z tego powodu miał już on w okolicy sławę szeroką.

Po tem sprawiedliwem oćwiczeniu zbuntowanych, rozkazał Grabiński zamknąć głównych przewódców do ciemnego „gąsiora“, Kołaczkowskiemu zaś, polecił objechać z hajdukami wszystkie pobliskie wsie i przypilnować, aby roboty na pańskim były tak samo prowadzone, jak dotychczas.

Rynek opustoszał tymczasem zupełnie. Poznikały gromadki chłopów, odjechały ich furmanki, a tylko mieszkańcy, snuli się po ulicach i rozprawiali cicho między sobą, na temat ostatnich wypadków.

Jeden tylko może w całym mieście pan Hipolit Czerski, bogaty kupiec z rynku, wielbiciel wdzięków panny Anki, córki rezydenta Głuchowskiego, miał dzisiaj butną minę i humor jak nigdy. Podwinął do góry puszyste — jak miotły — wąsy, jedną rękę za pas założył, a drugą ujął się pod bok i dumnie kroczył w stronę zamku. Przy nim postępowali, ławnik Jan Dwidziński, oraz pan Grzegorz Tulejka, człowiek pięćdziesięcioletni, z dobrodusznym wyra-



zem twarzy, o dużych, szpakowatych wąsach i bystrych, błękitnych oczach.

Wszystkich trzech, widywano często w kompanii. Razem spotykali się w kościele, razem radzili na rynku, razem też spędzali czas w gospodzie przy szklanicach.

Pan Grzegorz miał i na zamku i w mieście wielkie poważanie. Oficerem był długie lata, znał się dobrze na kunszcie wojowania, świata zwiedził dość, toć w opowiadaniach swoich był niewyczerpany, a chętnych słuchaczy i przyjaciół miał wszędzie sporo.

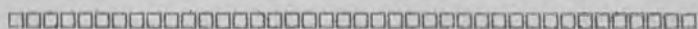
Czerski, Dzidziński oraz pan Grzegorz, znani byli ze swojego zgodnego pożycia w całym mieście.

Do kompanii ich przyłączał się również od pewnego czasu i rezydent Głuchowski, który rad był wielce swoją Ankę oddać za żonę Czerskiemu.

Teraz właśnie pan Czerski z towarzyszami swoimi, zaproszeni na przyjęcie imieninowe pani Bronisławy, żony rezydenta, wybrali się na zamek.

Pod nieobecność starosty Łukasza Opalińskiego, tak rezydent jak i podstarości, podejmowali zawsze swych gości w komnatach zamkowych. To też i dziś, urządził Głuchowski przyjęcie w zamkowej świetlicy, i przed głównymi drzwiami, oczekiwał gości wraz ze swoją połowicą, przystrojoną w olbrzymi czepiec.

Matka Anki na przyjęcie upatrzonoż zięcia,

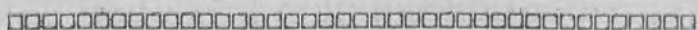


przygotowała się wystawnie. Stół zastawiono obficie naczyniami srebrnymi i fajansowymi, na których były i pawie pieczone i kapłony, i rozmaitego rodzaju pięknie dekorowane, formiane ciasta.

Rezydent, chcąc wystąpić całkiem po dworsku, zwyczajem pańskim, postawił nawet do obsługi odświętnie przystrojonych hajduków, z których jedni dosyć zręcznie polewali gościom ręce nad miednicą i podawali im długi wzorzysty ręcznik do obtarcia dłoni, inni zaś, stali za krzesłem każdego gościa i pełnili tutaj urząd krajczych.

W gościnie tej, brał udział również i podstarość Grabiński, który jakkolwiek podniecony był jeszcze zajściem z chłopami, a również i osoba Czerskiego wielce mu była nie do smaku, zachowywał się jednak na pozór obojętnie, biorąc w rozmowie zaledwie tylko mały udział.

W połowie uczty — po toastach na cześć solenizantki i jej małżonka — powstał rezydent i podniósłszy wysoko kielich, wypił zdrowie Czerskiego, potem, za małą chwilę Tulejki, Dzidzińskiego, a w końcu Grabińskiego. Czerski był rozczulony, trunek począł go rozbierać. Powstał więc i mówił coś długo o zaszczycie, jaki go spotyka i o zaszczytnem zrównaniu stanu mieszczańskiego z zamkiem, ale wnet począł się plątać, wreszcie utknął. Dzidziński trącił go i pociągnął za rękaw, poczem sam głos zabrał. Nie mogąc jednak nic składnego powiedzieć, powtarzał to, o czem już poprzednik jego prawil, aż



wreszcie wybawił go z tych opresyi sąsiad pan Tulejka.

Ten odkrzyknął, węża garścią poprawił i począł mówić.

Sławił najpierw gościnność i uprzejmość gospodarzy, podnosił zalety Czerskiego, wreszcie począł prawić, że byłoby to wielkim honorem dla niego, gdyby jego serdeczny przyjaciel Hipolit, został uszczęśliwiony tak zacną i bogobojną dziewczyną, jaką jest panna Anka. Więc prosił gospodarzy, aby nie byli krzywi na obecnego tu Czerskiego, ale żeby mu raczyli dać swoje błogosławieństwo i przyzwolenie na poślubienie córki.

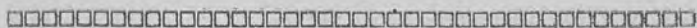
Poczęli się ścisnąć i całować. Do samego zmierzchu gawędzili ochoczo i popijali należycie.

Ale Anka przy stole nie pokazywała się wcale.

Czerski nie rad był wielce z tego, gdyż spodziewał się, że dziewczynę obaczy i nareszcie raz już z nią pomówi.

Zagadnął więc gospodarza, coby znaczyło, że jejmościanka, w dniu imienin matki, nie raczyła nawet gościom pokazać swojego oblicza.

— A szukaj jej waszmość sobie, jeśli zdołasz odnaleźć — odparł wesoło rezydent. — Płochę to jeszcze, bo młode. Skoro dowiedziała się, że konkurent przyszedł, dała gdzieś drapaką i śladu po niej nie widać. Już obszukali za nią daremnie wszystkie kąty. A waszmość, jeśli masz ochotę, możesz także próbować szczęścia w szukaniu.



Czerski ośmielony zachętą rezydenta, wysunął się cicho do sieni. Rozejrzył się bacznie wokół.

Ściany, obwieszane były tutaj rozmaita bronią. Miecze, łuki, pancerze, hełmy i ryngrafy, oraz liczne trofea myśliwskie, dziwnie tajemniczo odbijały w blaskach ognia, płonącego w wielkiej grubie.

Oprócz pacholka, przykładającego dREW do ognia, nie było tutaj nikogo.

Czerski przeszedł chwiejnym krokiem z sieni wprost na wirydarz, ciągnący się o parę kroków dalej. Szedł szpalerem krzewów i mruzczał, rozglądał się i przystawał. Szumiało mu w głowie, jak przy wodospadach, czuł, jakby dymy jakieś odurzające uderzały mu do mózgu, nie mógł zupełnie jasno myśleć, urywał się ciągle wątek i coraz to nowe obrazy pojawiały się w jego wyobraźni.

Chodził długo ścieżkami, wreszcie usiadł na darniowej ławeczce pomiędzy krzewami i odsapnął.

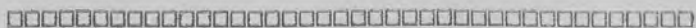
Wieczór był cichy, pogodny. Sierp księżycy podnosił się ku górze i płynął wolno po niebieskim stepie, zasłanym falami pierzastych obłoków. Lekki wiatr szemrał cicho i głaskał uśpione kwiaty.

Naraz, jakby z pod ziemi ozwał się stłumiony śpiew.

Pan Hipolit słuch wyteżył.

— Co u licha — mruknął. — Czy nabożeństwo gdzie odprawiają o tej godzinie?

Ale wnet przypomniał sobie, że to pewnie



śpiewają chłopi, zamknięci w lochach, za skargi zanoszone przed urzędników królewskich.

— Dóbrze wam tak chamy... dobrze... — mruzczał sennym głosem. — Chcieliście bunty, to siedźcie teraz w gąsiorze... siedźcie...

Porwała go czkawka.

Naraz drgnął. O parę kroków na ścieżce, obaczył idącą cicho, smukłą postać kobiecą.

Pan Hipolit zerwał się natychmiast, stanął na ścieżce, zagradzając przechód idącej.

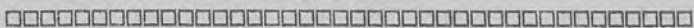
Kobieta wydała lekki okrzyk i stanęła.

— Pozwoli jejmość panna — począł Czerski, prostując się jak mógł najbardziej — że się tutaj ośmielę jej zaprezentować, skoro nie mogłem do czekać się jej na przyjęciu u zacnych rodziców. Hipolit Czerski jestem, syn św. pamięci Marcina i Pelagii z Kukińskich, i przybyłem tutaj w kompanii imćpanów Tulejki i Dzidzińskiego, w zamiarach starania się o rączkę waćpanny.

Srebrny głos dokończył słowa pana Hipolita.

— I tak zaraz o rękę waćpan prosisz, nie poznawszy mnie bliżej nawet?

— Mościa panno! Wybacz, że odrazu z ową deklaracją występuję, ale afekt, jaki uczuwam od dawna do waćpanny, nie pozwala mi ani chwili zwlekać. Znam waćpannę dawno, bo widziałem ją już nie raz jeden, i od pierwszego zaraz widzenia, począł mi amor grotem serce szyć, że człeku teraz ledwie żyć można, z wielkiej tęsknoty



i miłowania. Albo mnie waćpanna siebie za żonę daj, albo ubij, albo nie zdzierzę tak dłużej, jakem Czerski Hipolit!

Usunął się przed nią na kolana, a dziewczyna o krok przed nim się cofnęła.

— A jeśli waćpana nie ubiję? — zapytała figlarnie przekrzywiając główkę.

— To mi waćpanna siebie za żonę oddaj.

— A jeśli siebie także nie oddam?

— Tedy uschnę jak wiór, umrę ze zgryzoty, albo sam się ubiję.

— Ja zaś waszmości mówię, że ani uschniesz, ani się zabijesz, tylko przed inną ukłkniesz tak, jak przedemną, i to samo prawić jej będziesz.

— Jakem żyw mościa panno, nie będę!

— Będziesz.

— Nie będę, bo mi już ojciec waćpannę słowem szlacheckiem obligował.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się na całe gardło. — Co to waćć myślisz, że bez swojej własnej woli szłabym za waćpana?

— A ojcowskie słowo?

— A moje słowo nic nie znaczy, że jak powiem raz nie, to nie!

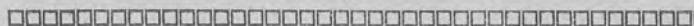
— Waćpanno Anko!

— Mości panie Hipolicie!

Obróciła się nagle i zniknęła między krzewami.

Czerski klęczący na ziemi, aż stęknął.





— Anka... Anulka... moje ty jedyne złotości...
Jakem Hipolit Czerski, tak nie zdzierzę!...

Sapał i dyszał ciężko.

Po długiej chwili uspokoiwszy się nieco, począł iść ścieżką, zbacząc raz w jedną, to znów w drugą stronę. Wszedł do sieni. Ciemno tu było zupełnie; ogień, palący się niedawno w grubie — przygasł. Wyciągnął więc ręce przed siebie i począł iść naprzód po ciemku — szukając drzwi.

Naraz coś zaszeleściało, i ręce Czerskiego döknęły jakiejś postaci.

— Mam waćpannę... nie puszcze już... moje jedyne złotości... Ja dla jejmościanki w ogień gotów... mnie rozum w głowie się mięsza i serce mało piersi nie rozsadi z ogromnego afektu, jaki do waćpanny czuję...

Począł silnie obejmować i garnać ku sobie jakąś postać niewieścią, która wcale mu się z rąk nie wymykała.

— Niech waćpan da spokój, bo nas tu kto obaczy — ozwał się cichy głos kobiety.

Czerski zdrętwiał; poznał po głosie, że to... nie Anka.

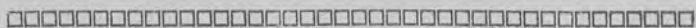
— Kto to taki? — zapytał szeptem.

— Niech waćpan puści.

— Kto to taki? Mów waćpanna!

— Nie powiem... }

Pan Hipolit sapał jak miech i nie mogąc



po ciemku odgadnąć rysów twarzy, starał się rękami rozeznaczyć kogo ma przed sobą.

— Niech waćpan da spokój, bo kto nadejdzie...
Poczęła mu wydzierać się z rąk.

A jemu, uderzyły humory jeszcze bardziej do głowy. Przycisnął się silnie do niewieściej postaci i z sieni powłókł się za nią.

Tymczasem w komnacie gromadka biesiadników zabawiała się w dalszym ciągu. Gospodarz podejmował ich bardzo serdecznie, zachęcał do jedzenia i napoju, starał się, aby kielichy nie stały puste i ciągle zapewniał gości, że jest im ogromnie rad.

Skoro jednak nieco za długo nie zjawiał się z powrotem Czerski, poczęto śmiać się, że pewnie za daleko podążył gdzieś za tropem panny, skoro go jeszcze nie widać.

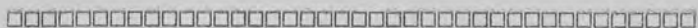
Naraz rozwarły się drzwi i weszła zarumieniona — jak wiśnia — Anka.

Duże, błękitne oczy świeciły się jej jak gwiazdy, rozradowanie wielkie przebijało się na obliczu.

Rezydent, zaprezentował córkę gościom. Dzidziński i Tulejka porwali się z krzesel; podstarość, stary znajomy, oddał sztywny ukłon.

— Przepraszam waszmościów, że tak nagle wpadam — zawołała zdyszana. — Czy pan Czerski nie wrócił?

— A widzisz przecie, że go niema — odparł



rezydent. — Amor powiódł go za tobą i przepadł nam bez wieści.

— Był w wirydarzu przed chwilą i znikł gdzieś, że ślad po nim nie został.

Pan Tulejka zaniepokoił się.

— Szukać go musimy, mości panie Janie — zwrócił się do Dzidzińskiego.

— Ano dobrze, chodźmy — ozwał się zagadnięty.

— Pójdziemy razem na wirydarz, wieczór pogodny — dodał rezydent powstając z miejsca.

Podstarości powstał również w milczeniu.

Wyszli wszyscy. Pierwsza podążyła Anka, a za nią biesiadnicy.

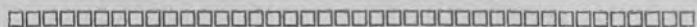
Obeszli wzdłuż i wszerz cały wirydarz, oglądali dokoła każdy krzew, nie znalazłszy jednak nigdzie poszukiwanego, poczęli się naradzać.

Niebo się wyjaśniło. Księżyc, jak srebrna łódź płynął po pogodnym niebie; gromady chmurtek poznikały i powędrowały gdzieś — na nocne legowisko.

Anka prowadząc gości, miała wielce zagadkową minę, uśmiechała się co chwila, jakby wiedziała coś o zniknięciu pana Hipolita, ale nie zdradzała tajemnicy.

— W ziemię się nie zapadł przecie — ozwał się naraz głos pana Tulejki.

— Niezbadane są wyroki boskie — dorzucił tajemniczo Dzidziński.



Rezydent mruczał coś i głową kręcił.

Naraz zatrzymali się przy świerzeniu, który odgraniczał dziedziniec zamkowy od wirydarza. Był to budynek już nie nowy, z drzwiami wysoko umieszczonemi i galeryjką, wspartą na wysokich, drewnianych filarach.

Anka, z palcem na ustach, zaleciła milczenie.

Przez boczną furtkę, przeszli cicho i stanęli z drugiej strony budynku. Z wnętrza przez odchyłone nieco dolne drzwi, dobywał się przyciszony, znany głos pana Hipolita.

— Nie zdzierzę waćpanno dłużej, sumiennie... Amor mi grotem serce popsował i w głowie rozum zmacił...

— A jutro, pewnie mnie waszmość porzuci i znajdzie sobie inną... — odpowiedział mu ze śmiechem głos kobiety.

— Słowo uczciwego człowieka, że ostanę przy waćpannie!

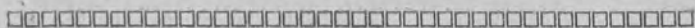
— A panna Anka?

Zamilkł. Długo coś myślał, aż wreszcie ozwał się płaczliwie.

— Dostałem odkosza... Dziś... tu... w wirydarzu... jakim Czerski!

Pan Tulejka stojący najbliżej drzwi, rozwarł je raptownie na oścież.

Fala księżycowych promieni, wpadła do wnętrza i oświetliła całą scenę.



Pośród rozmaitych rupieci, siedział na jakiejś pace pan Hipolit, bez czapki, z włosami zjeżonymi; wąsy obwisły mu strzępiasto ku dołowi. Twarz miał czerwoną, oczy mdłe, jakby zaspane, odświętny kontusz był na nim całkiem zmięty i zbrukany.

Obok niego stała Iwonka, urodziwa dziewczyna, która od lat dziecięcych chowała się jako sierota w domu rezydenta.

— To waszmość na takie konkury brałeś nas do zamku? — huknął głos pana Tulejki.

— Sumiennie... mości panie Grzegorciu... — począł płaczliwie wielce przestraszony Czerski — dostałem odkosza... sama mi to powiedziała...

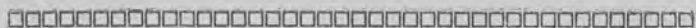
— Toś się waść rychło pocieszył po mojej stracie! — ozwała się Anka, zanosząc się od śmiechu.

Iwonka zakryła sobie oczy rękoma i wymknęła się szybko ze świerzenia. Głuchowski rozłoszczony do wściekłości, porwał córkę za rękę i poszedł z nią na zamek. Podstarości uśmiechając się złośliwie, podążył w ich ślady.

Przy panu Hipolicie pozostali dwaj przyjaciele.

Wzięli go pod rękę i powiedli do domu, nie pożegnawszy się nawet z rezydentem, który z gośćmi widzieć się już nawet nie chciał.





dent nie zgodzi się nigdy przyjąć na zięcia burmistrza, obecny zaś przypadek rozwiął znów bezpowrotnie i plany pana Hipolita. Począł więc znowu łudzić się nadzieją, że z tych wszystkich zawikłań on jeszcze może wypłynie zwycięsko i Ankę posiędzie.

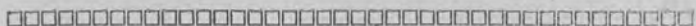
Skoro więc zeszedł się w parę dni później na swobodnej pogawędce z rezydentem, zagadnął go, czy i obecnie obstaje przy swoim słowie, które dał niedawno Czerskiemu.

— Gdyby Anka sama nie przyłapała go z Iwonką — począł się tłumaczyć Głuchowski — byłbym nie wiele zważał na to. Sam byłem młody, więc pojmuję, rozmaicie tam w życiu bywało, sprawiedliwie, jak Boga kocham. A widzisz waszmość, dziewczyna sama go przyłapała, tu niema żadnych tłumaczeń. Przyszedł w mój dom, starania robił o córkę, a tymczasem, jak prosty cham, do innej dziewczki w świerzeniu się zalecał.

Grabiński zaczął potakiwać.

— Słusznie waszmość mówi; ale burmistrz rad teraz będzie, skoro rywala postradał. Radziłbym tedy rychło obejrzyć się za zięciem, aby nie było za późno, bo burmistrz gotów się pospieszyć.

— Co mi tam waszmość będziesz przygadywał, aby się śpieszyć! — odciął się opryskliwie rezydent. — Dziewka młoda, więc ma czas, a że podoba się komuś, więc jeszcze nie powód, aby się tak zbytnio trzeba było śpieszyć z małżeństwem.



Dalszą rozmowę przerwał im Kołaczkowski.

Był bardzo wzburzony; twarz nabrękała mu krwią, oczy rzucały iskry. Poznać było, że przed chwilą musiał przechodzić z kimś jakąś ciętą rozprawę.

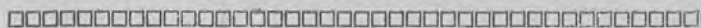
Grabiński przyjrzał mu się bacznie i pierwszy zagadnął.

— Waść znowu, jak widzę, miałeś chłopską awanturę.

— Miałem, bo bez niej obejść się nie mogło. Pan Dyabeł Stadnicki, nową jakąś wojnę obmyśla, skoro zachciewa mu się teraz i nas niepokoić. Do naszych śpichlerzy, w których uprosił sobie miejsce na składy, nasłał z Łańcuta swoich chłopów, a ci, już trzeci raz nasze zboże grabią, i butnie stawiają się, prócz tego ludzi nam buntują i werbują do siebie.

— To waść nie miałeś na zawołanie hajduków, aby ich przepędzić? — ozwał się gniewnie podstarości.

— Robiłem co mogłem, ale na taką moc chłopstwa, jaka z Łańcuta naszła, trzebaby ludzi chyba ze wsi ruszyć, bo naszych nie starczyłoby na zamku. Zresztą, jak ludzi ze wsi teraz nam ściągać? Królewscy urzędnicy podburzyli ich i odwiedli od posłuchu, a jakiś ksiądz, bunty im radzi, więc chłopci robić już nie chcą, jeno włóczą się po karczmach, każdy uzbrojony w kosę, widły, abo rusznicę, a do roboty niema nikogo. Wnet deszcze jesienne spadną, a tu tyle jeszcze roboty w polu.



— Te najazdy na śpichlerze, to będzie pewnie przygrywka Stadnickiego do wojny z naszym starostą — poderwał żywo Głuchowski. — Z całym światem radby teraz Dyabeł wojować, a jego samego, pokonać nikt jakoś nie może. Widać, że mało miał wojny z Ligężami, Ostrogskim, Pileckim i tylu innymi, skoro czepił się znowu teraz Korniaktów, a na później przygotowuje widocznie już sobie nową zaczepkę z panem Opalińskim.

— A dawno to naszych ludzi z Łąki schwytał, bez powodu obił i uszy im poobcinał? — zagadnął Kołaczkowski.

— Sława jego rośnie — poderwał Grabiński — więc musi on przecie dbać, aby nie przygasła. Kiedy jeszcze mieszkał w Dubiecku, to najeżdżał lasy Kostczyny, ludzi jej bił, wyrębywał drzewo pod zbrojną eskortą i zabierał je jak swoje. A z naszymi śpichlerzami, podobnie obecnie poczyna.

Podstarości począł chodzić wielkimi krokami po komnacie, mruczał coś i w myślach planował, wreszcie stanął przed Kołaczkowskim.

— Czy nie schwytałeś waść nikogo z tych grabieżników?

— Mamy jednego hajduka i pięciu chłopów. Osadziłem już wszystkich w lochach. Reszta umknęła z furgonami, a ścigać nie można ich było, bo nasze siły były za słabe.

— Tylko nie więzić ich, bo szkoda chleba, który darmo zjedzą. Każ ich waść zaraz wyprowa-

□□□

dzić na dziedzińcu i każdemu dać po sto solonych powrozów. Hajdukowi zaś — sposobem łańcucowym — obciąć uszy za to, że tak gorliwie słuchał rozkazów swego pana. Potem wszystkich napędzić z powrotem do Łańcuta.

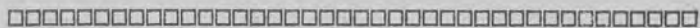
— A możeby wszystkim uszy poobcinać? — poderwał chytrze Kołaczkowski.

— Słuchaj waść moich rozkazów, a nie swojej rady. Ja zrobię zaraz o zajęddzie donos do starosty w Łące, aby wniósł pozew przeciw Stadnickiemu o najazd i grabież.

— Nie nowina mu to, nie nowina — począł dowodzić rezydent. — Dość już pozwów trybunałskich wytoczyli przeciw niemu tacy jak Mikołaj Potocki, Płaza z Mstyczowa, Suchorabski i inni, a widzisz waść, że hula Dyabeł dalej jak wiatr po polach. Z nim, jest jedna tylko rozprawa. Płacić mu tą samą monetą jaką on daje, a najlepiej, aby ubić szkodnika i byłby spokój dla wszystkich.

Gabiński gryzł wąsy ze złości i pięście zaciskał.

— Słuchaj waść — ozwał się do Kołaczkowskiego z mocą. — Gdyby to był pierwszy wypadek z tymi śpichlerzami, możnaby jeszcze popołgować tym dyablím posłom, ale to już dla nas nie pierwszyna. W kamieniołomach naszego starosty w Błędownej i Chmielniku, łupał Stadnicki kamień pod zbrojną eskortą, i zabierał go jak własny — na swoje potrzeby. Naszych ludzi, w drodze na roczki



do Przemyśla, napadli jego hajducy i śmiertelnie poturbowali, a jak waści wiadomo, przed miesiącem niespełna, pojmali znów łańcucki pan dwóch ludzi — poddanych naszej starościny, i jednego na śmierć skatował, a drugiego puścił kaleką. Tu w tych wybrykach, miarka się już przebrała. Słusznie więc pan Głuchowski mówi, aby mu płacić taką samą monetą, jaką on daje. Każesz więc waść wszystkim śpichlerzowym grabieżnikom wyliczyć po sto solonych powrozów, a potem nie jednemu, ale wszystkim uszy poobcinać.

— Tak, tak, sprawiedliwie, jak Boga kocham! — zawołał rezydent, zacierając ręce z uciechy, że jego rada znalazła posłuch.

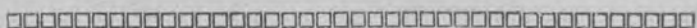
— Wszystkim, to co innego. Tak, to rozumiem! — ozwał się rozradowany Kołaczkowski. — Rozkaz zaraz będzie wypełniony. Jeszcze na noc, wyprawię ich do Łańcuta — bez uszu.

I wyszedł szybko, jakby się obawiał, aby wyrok nie został zmieniony.

Na dziedzińcu spotkał Ankę, której obwieścił zaraz, że ma zlecenie obić grabieżników Stadnickiego, a potem uszy im poobcinać.

Anka czuła na ludzką krzywdę, ogromnie przejęła się tą wiadomością. Poczęła więc płakać.

— Mości panie Marcinie... mój złoty panie Marcinie — błagała go ze łzami — już obij ich jak ci nakazano, kiedy inaczej być nie może, tylko nie rób im większej krzywdy... nie kalecz ich tak strasznie...



nie obcinaj im uszu... Przecie oni robili to, co im ich pan rozkazał. Ja idę zaraz do ojca... wstrzymaj się jeszcze chwilę... mości panie Marcynie...

— E, co tam waćpanna głowę zawraca! — odparł opryskliwie Kołaczkowski — Rozkaz jest obciąć, to obciąć! Łańcucki Dyabeł nikomu nie przepuści, kogo tylko schwyta, więc trudno nam nie odplacić mu bodaj raz, jak należy.

— Mości panie Marcynie, jeszcze tylko ten raz, jedyny raz, niech pan się chwilę zatrzyma. Ja idę prosić ojca za nimi...

— Rozkaz jest obciąć to obciąć, a ja wykonać muszę!

— Panie Marcynie!...

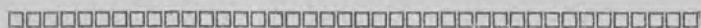
— Nie pofolguję... jakim Kołaczkowski!

I odszedł szybko arendarz, nie zwracając już wcale uwagi na dziewczynę, która dalej zawodziła i patrzyła za nim błagalnym wzrokiem.

Skoro tylko uspokoiła się nieco, pobiegła czemrychlej do ojca. W kilku słowach wypowiedziała mu swoją prośbę i całując go po rękach błagała usilnie, aby Grabiński za jego wstawieniem zaraz wyrok cofnął.

— Ty mi tu nosa nie wtykaj! — huknął na to w odpowiedzi poirytowany rezydent. — Twoja rzecz gospodarstwo i kuchnia, a sprawy karania pachołków Dyabła ostaw tym, którym przynależą!

Anka wiedziała, że odpowiedź ojca jest nieodwołalną, więc tłumiąc łzy w sobie odeszła.



W swojej izdebce przesiedziała do późnego wieczoru, gdzie z lękiem przemyśliwała nad wstrętną egzekucją, jaka dziś jeszcze miała się odbyć na dziedzińcu zamkowym.

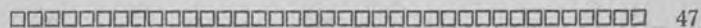
Naraz uszu jej doleciał przeraźliwy krzyk. Dreszcz ją przejął, w piersiach dech zaparło. A krzyk ten wzrastał się coraz większy, potem ozwał się drugi i dalszy, wreszcie chórem rozbrzmiały przeraźliwe wrzaski.

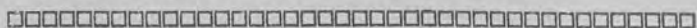
Anka długą chwilę zatykała sobie uszy, aby nie słyszeć tych jęków. Naraz jak pomięszana zerwała się, wypadła z izby i pobiegła na dziedziniec. Szalona myśl strzeliła jej do głowy, aby rzucić się między torturowanych i przeszkodzić dalszym męczarniom.

Przy świetle smolnych szczap, trzymany na wysokich żerdziach, stała gromada hajduków i oświetlała miejsce egzekucji. W pośrodku nich, sześciu obnażonych ludzi wilo się na ziemi w okropnych mękach. Sine pręgi mieli po całym ciele, a w miejscach uszu, widniały krwawe otwory.

Na uboczu, obok Kołaczkowskiego dającego rozkazy, stał w czerwonym kaftanie z czarną pełchatą głową, ogromny, brodaty chłop Sojka, z rękawami zawiniętymi po łokcie. W jednej ręce trzymał krótki, szeroki, skrwawiony nóż, w drugiej zaś, wspartej na boku, gruby, wiązany w guzy powróż.

Sojka był na leżajskim zamku wykonawcą





wszelkich kar, on też dozorował więźni i zdawał o nich sprawozdania.

Anka rzuciwszy okiem na miejsce egzekucyi, przekonała się, że przybyła już za późno; zatoczyła się jak pijana, oczy zakryła rękami i cofnęła się na ubocze, aby nie patrzeć na męki tych nieszczęśliwych.

Po chwili wróciła spłakana do izby, ale usiedzieć tam nie mogła. Ciągłe zdawało się jej jeszcze, że słyszy ten jęk i błagania o litość, ciągle miała przed oczyma obraz wijących się w bólu pachołków Stadnickiego.

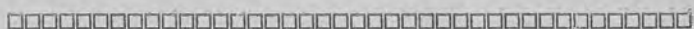
Wyszła na wirydarz i usiadła na darniowej ławeczce, na której niedawno temu marzył o niej pan Hipolit Czerski.

Wieczór był chłodny. Niebo pogodne, bezksiężycowe miało kolor granatowego sukna, na którym jak złote ćmy, trzepotały się roje gwiazd. Wiatr podmuchiwał chwilami i nawodził to raz milknące odgłosy z dziedzińca zamkowego, to znów ujadania psów od strony miasta.

Anka podparła głowę na dłoniach i poczęła zwolna uspokajać się.

Naraz drgnęła i podniosła głowę. Szelest jakiś i delikatne stapania zwróciły jej uwagę. Jakiś cień skradał się powoli, przystawał chwilami i znowu posuwał się ścieżką coraz bliżej.

Nie było całkiem ciemno, więc Anka wyteżyła silnie wzrok. Lęk jakiś zrazu ją ogarnął; wnet



jednak poczęła się wahać, wreszcie zerwała się i postąpiła parę kroków naprzód.

Przed nią stał rosły mężczyzna. Był to Godlewski.

— Na miły Bóg, jak się tutaj dostałeś? Brama przecie już zamknięta — ozwała się stłumionym głosem, podając mu obie ręce na powitanie.

— Już trzeci wieczór na wirydarz zachodzę i ledwie dziś, kochanie moje spotykam — odrzekł zagadnięty i porwawszy jej ręce, począł do ust przyciskać.

— Ale jak się tutaj dostałeś o tej godzinie?

— Komu amor jak mnie, serce grotem przeszył, ten musi sposoby znaleźć. A mnie przecie bez twojego widoku, jak rybie bez wody... kwiatu bez słońca... a człekowi bez powietrza... Miłuję przecie ciebie więcej nad oczy własne i nad życie... a gdybym wiedział, że nie mam wzajemności, to dawno już zmarniałbym do cna...

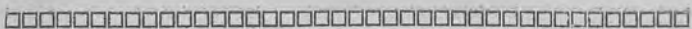
— Przecie dobrze wiesz... — brzmiała cicha odpowiedź.

— Że co serdeczna?

— Że... że miłuję ciebie, jak nikogo na świecie...

— Anulka... słodka... jedyna... moja!... — począł burmistrz drżącym głosem i porwał ją w objęcia, silnie do piersi przycisnął, całując oczy, usta, włosy.

— Teraz już niech mi krzyw będzie nie tylko twój ojciec i Grabiński, ale niech sam Dyabeł łań-



cucki przeciwko mnie powstanie, to nie dam sobie ciebie wydrzeć.

— A cóż my pocniemy ze sobą, przeciw tylu przeszkodom?

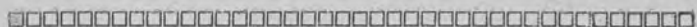
— Sam jeszcze nie wiem, jaki los nam przypadnie. Rapt urządziłbym już dawno, ale gdzież ciebie jedyna moja uwiozę i ukryję? Ojciec twój i Grabiński, poruszyliby piekło w poszukiwaniach. Musimy więc przeczekać jeszcze trochę, może podstarości stąd wnet pójdzie, bo w mieście radzi już wszyscy o tem rozprawiają, że do Sokołowa na dzierżawę się wybiera.

— Słyszałam o tem, bo ojciec już wspominał. Ale nim to się stanie, trudno będzie dla mnie wytrzymać w tem piekle.

Począł ją pocieszać i tulić do siebie.

Usiedli na ławeczce. Anka opowiedziała mu szczegółowo całą przygodę Czerskiego, użalając się, że przez ojca jest teraz baczniej śledzoną, dlatego i na świat wyrzeć i ludzi przyjaznych obaczyć jest dla niej teraz trudniej.

— A dla mnie, życie także nie weselsze, moje ty najmilsze kochanie. — mówił czule Godlewski. — Widzę cię chyba we śnie tylko, kiedy mi mój patron święty pociechę chce zesłać, bo na jawie ledwie że nie oszaleję z tej wielkiej tęsknoty, jaka gnębi moje serce... Nie sposób mi już było wytrzymać dłużej bez twojego widoku, dlatego fortelowi jeno



zawdzięczam, że udało mi się teraz na wirydarz przedostać.

— A jakże się to stało?

— Zdobyłem łaskę u Karasia przy bramie, skąd już nie trudno przecie na wirydarz się przedostać.

Z okna baszty zamkowej, ozwał się naraz smętny, monotonny śpiew.

Był to znak czujności chłopów, trzymających straż.

Głosy płynęły hen — w mroczną dal, pełne jakiegoś niewysłowionego smutku, rozbrzmiewały jakąś głęboką skargą na nędzę życia, odbijały się w romaitych modulacjach od rozrzuconych domostw, rozsypując się gdzieś daleko za miastem.

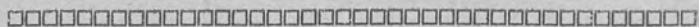
Anka przytuliła się do Godlewskiego.

— Taki lęk mnie jakiś czasem ogarnia — szeptała cicho.

— I czegoż to? Przecież nic złego nie grozi ci kochanie moje.

— Czyż ja wiem... Zdaje mi się czasem, że coś mnie spotka ogromnie smutnego, jakieś nieszczęście wielkie... i taki dziwny niepokój mną owłada, że trudno zapanować nad sobą...

— Anuś... Anulka... bacz przecie na to, że choć oddziela nas ta strzeżona brama zamkowa, ten okop dokoła i ostrokół, ale ja przecie przy tobie całą duszą jestem każdej chwili... Ostatnią kroplę krwi oddam, gdyby przyszło za Tobą się ująć.



Może już wnet skończy się ta nasza niedola, może wnet nazwę cię już swoją... Moc Boska we wszystkim, tylko ufaj mi i nie zapominaj o mnie...

— Junaku ty mój serdeczny...

— Anuś... słońce ty moje i ukochanie jedyne.

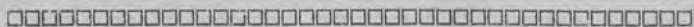
— Ufaj mi i Kochaj... ja tylko twoja, albo niczyja... a świadkiem niech nam będzie Bóg...

Złączyli się w serdecznym uścisku, dusze ich zawarły ze sobą ślub dogonny, a usta, stopiły się w długim, serdecznym pocałunku...

Rozstali się.

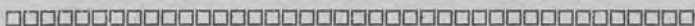
Godlewski jak cień, poszedł cicho w stronę świerzenia, gdzie oczekiwał go odźwierny Karas.





Więc prawil teraz wszystkim i dowodził, że całkiem słuszna kara spotkała wysłańców Dyabla do leżajskich śpichlerzy, gdyż puścić ich bez odprawy, znaczyłoby tylko rozzuchwalać sąsiada, lękać się jego bezprawi i swoją niemoc okazywać.

— Ja tylko przewiduję w tych zaczepkach mości panowie — mówił do słuchaczy pan Grzegorz — że taką samą wojnę, jaką wiódł z Ligęzą, a teraz prowadzi z Korniaktami, rozpocznie wnet Dyabeł i z naszym starostą Opalińskim. Stadnicki poczyna zawsze od takich rabunkowych zaczeppek, jak z tymi śpichlerzami, ale kończy na wojnie prawdziwej, do której — jak wiecie waszmościowie — ma na usługach setki najemnych sabatów, tatarów, kozaków i bandę rozmaitej zbieraniny, która rada tylko czeka okazji, aby po łupy ruszyć. Powiadają, że Dyabeł kuje w lochach fałszywą monetę... Wierzę, że tak być może, bo on tyle naszych kościołów sprofanował i tyle srebra zagrabil, że pewnie przerabia teraz wszystko na fałszywy pieniądz. Gdyby inny szlachcic miał na sumieniu tyle niewinnej krwi i łez, pewnieby dawno już w wieży zgnił. A jemu, wszystko dotychczas uchodzi. Gdzie tylko widzi, że da się bić, bije, gdzie widzi, że da się brać, tam łupi. Świadczą dziś o nim najlepiej takie zbójckie, rabunkowe napady, jakie dokonał na podczaszego Ostroroga, Padniewskiego, Mikołaja Potockiego i tylu innych. A przecie o nim i bliski nam Przeworsk zaświadczy, na



który z Dubiecka jeszcze ze swoją zgrają napadł, wywalił bramy, wdarł się do miasta, gdzie z lochów więziennych zabrał sobie do kompanii brodatego Ilka, którego zrobił swoim zaufanym hajdukiem.

— Zaczego towarzysza sobie upatrzył! — huknął ktoś z końca stołu.

— Bo godniejszy, pewnie nie uraczyłby go swoim zaufaniem! — dorzucił ktoś drugi.

— Sojce na zabawkę takiego pana dać!

— Sojce go dać, Sojce! — zawołały liczne głosy.

— Na weselu burmistrza, zrobiłby nam Sojka widowisko z Dyabła! — krzyczał sukiennik Zawada, wychyliwszy się z gromadki.

Godlewski siedzący opodal, słysząc przemówkę do siebie, zerwał się z ławy.

— Jeno mnie waść zabawy weselnej z takim spektaklem nie urządzaj, skorom waści o swaty nie prosił! — zawołał podrażniony.

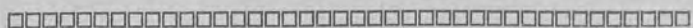
Zawadzie oczy dziwnie się zaświeciły.

— Zachodzisz waść na zamek nocą w konkury, to i wesele być może — odparł z przyciskiem.

— Milcz waść, bo ci kuflem łeb rozbiję!

— Ja także kuflem rzucać potrafię!

Godlewski był chłop rostry, młody — trzydziestoletni. Kiedy z kuflem w rękę wyszedł z poza stołu i stanął obok niskiego i suchego sukiennika, wyglądał wobec niego na olbrzyma.



— Powiadam waści jeszcze raz, abyś milczał, bo jakem żyw, zadławię! — ozwał się burmistrz zduszonym głosem.

Kilku mieszczan poczęło ich uspokajać.

Zawada widząc, że ma po swojej stronie życzliwych, aby nie uchodził w towarzystwie za tchórza, począł udawać, że nie lęka się pogroźek. Podniósł hardo głowę i odezwał się z drwinami.

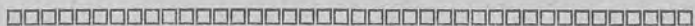
— Nie chciałem przecie mości pana burmistrza obrazić. Mówiłem o weselu dlatego, bo sły-
szałem, że waść w konkury na zamek nocami zachodzi.

Nagle rozległ się krzyk zdławiony. Zawada ugodzony kuflem w same zęby, powalił się na ławę.

W izbie zrobił się ruch. Kilku stronników rzuciło się ku zakrwawionemu sukiennikowi, gdy tymczasem inni — zwolennicy burmistrza — trzymali się zdala i patrzali w milczeniu na cały przebieg zajścia.

Czerski, słysząc o jakichś nocnych konkurach burmistrza, uczuł się dziwnie dotknięty, że jego spotkała niedawno na zamku taka niemiła przygoda, a tymczasem Godlewski, z powodzeniem do dziewczyny zachodzi. Podniósł się więc z ławy i zwracając się w stronę burmistrza ozwał się:

— Mienisz się waść być szlachcicem, a przecie nie po szlachecku postąpiłeś, skoro pan Zawada prawdę mówił.



— Pilnuj waść raczej Iwonki i nie mieszaj się w nieswoje sprawy! — odparował mu wzburzony burmistrz. — Mnie waść szlachectwa nie nadałeś, więc go i nie odbierzesz. A o prawdzie, możesz sobie waść radzić z takim Zawadą, co na drodze spokojnym ludziom stawa i, po chamsku męty w kompanii czyni.

— Uważaj waść na słowa! — ozwał się głos Dzidzińskiego.

— A waszmościowie nie mieszajcie się w nieswoje sprawy!

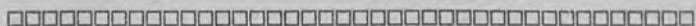
— Nasz towarzysz pokrzywdzon jest, więc musimy w jego obronie stawać — wniósł się złoćnik Grabiec.

Wrzawa zrobiła się w izbie. Kilku stanęło po stronie Zawady, gdyż w jego powiedzeniu nie dopatrywali się wielkiej obrazy Godlewskiego. Po stronie burmistrza stanęli dwaj bracia Szepelakowie, Chomin i Łysiarz.

Godlewski nie chcąc ustępować placu przeciwnikom, siadł na dawnym miejscu i począł rozmowę z Łysiarzem.

Ale Czerski, którego zainteresowało żywo wystąpienie Zawady, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, zwrócił się teraz ku niemu i z drwinami począł przemawiać.

— To waść widzę, podglądasz nocą obywateli. Nie honorowa to rzecz, a nawet niezbyt bezpieczna, jak się sam waszmość przekonałeś.



— Kogo podglądam, u tego o honor nie dbam — odparł sukiennik — a krzywdę uczynić człekowi, to byle kto dziś potrafi. Ja o swoją będę umiał się dopominać.

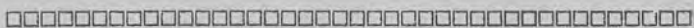
Godlewski kipiał cały ze złości, pięście zaciśkał i wargi zagryzał, ale nie odzywał się wcale. Łysiarz widząc, że łatwo przyjść może do nowego zajścia — powstał; poszli za jego przykładem Chomin i Szepelakowie, pociągając również i burmistrza. Skinęli w milczeniu pozostałym głowami i wyszli.

Przez kilka dni z rzędu nie mógł Godlewski opanować w sobie złości, jaka w nim przeciw Zawadzie nurtowała. Gryzło go to niemało, że wiedzieli już o jego wieczornych wycieczkach na zamek, obawiał się bowiem, aby również i Głuchowski nie dowiedział się o tem i nie robił scen dziewczynie z tego powodu.

O szpiegowaniu Zawady nie zapominał i miał zawsze pilne baczenie, kiedy szedł wieczór w stronę zamku.

Chomin Jacenty i Łysiarz Grzegorz, byli mu przyjaciółmi. Przed nimi nie miał tajemnic, i zwierzał się im zawsze ze wszystkiego.

Kiedy raz wieczorem, przechadzali się we trzech ulicami miasta i rozprawiali właśnie o obrabowaniu Sośnicy przez Dyabła łańcuckiego, o schwytaniu tamże Korniakta i osadzeniu go



w więzieniu, podeszli w ciemną, oddaloną od miasta uliczkę.

Naraz z sieni jednego domku, wypadł niski człowiek i głośnie krzyk podniósł.

— Tuś mi aż przyszedł bezecny burmistrz, po zapłatę za wybite zęby?!

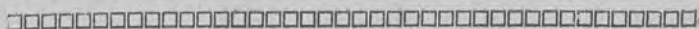
Godlewski przystanął z towarzyszami. Głos sukiennika poznali.

A Zawada. począł burmistrza lżyć i wspominać mu, że nocami zamek nawiedza, przyczem nie szczędził także i Ance słów ujemnych.

Godlewski nie mógł się już pohamować. Krew w nim zawrzała. Porwał się z miejsca i ku Zawadzie się rzucił. Za nim pośpieszyli obaj przyjaciele.

Sukiennik cofnął się do izby i chciał drzwi za sobą zamknąć, ale burmistrz pchnął je z całej siły, że aż z zawias wyleciały. Żona sukiennika z dziećmi zastąpiła mu drogę i głośnie krzyk podniosła, ale burmistrz odtrącił ją na bok, porwał za bary przestraszonego przeciwnika i o ziemię rzucił. Teraz posypały się dopiero niezliczone razy, które byłyby nieszczęsnego może i życia pozbawiły, gdyby burmistrza nie byli odciągnęli i z izby wyprowadzili obaj przyjaciele.

Nazajutrz rano, przed obliczem podstarościego Grabińskiego, stawili się panowie Dzikowski, Grabiec, oraz sukiennik Zawada z obwiązaną głową, oskarżając burmistrza Godlewskiego o gwałt, jakiego dopuścił się pobiciem i napadem na dom spo-



dziewczyna o mało nie oszalała z rozpaczy, kiedy doniesiono jej, że główną przyczyną pobicia sukienika była ona właśnie, bo Zawada wyraził się o niej obelżywie, co burmistrza popchnęło do tej bójki.

Uwolnić ukochanego z więzienia, nie miała żadnej mocy. Ojciec, którego błagała na klęczkach i zaklinała na wszystko, aby za nim się wstawił, odepchnął ją opryskliwie i z izby wynosić się kazał. Matka, cicha, potulna kobieta, nie mieszająca się nigdy do żadnych spraw, wzruszyła tylko ramionami i odmówiła stanowczo swojej pomocy.

Jedna tylko jeszcze droga pozostała, a tą było udanie się do samego Grabińskiego.

Nie zwlekając więc wcale, poszła Anka natychmiast do niego.

Zimno wysłuchał podstarości jej prośby.

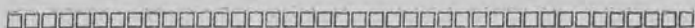
— Dlaczegoż wacpannie zależy tak na wolności burmistrza? — zapytał po długiej chwili, świdrując ją oczyma.

— Godlewski jest moim narzeczonym, więc sprawa jasna, dlaczego mi zależy — odpowiedziała krótko.

— Narzeczonym? — zapytał zdziwiony, cedząc każde słowo powoli.

— Tak!

— A ojciec wacpanny wie o tem i zgodził się na to?



i bezstronnie sprawę rozsądził i więzionego puścił wolno.

Grabiński patrzył na nią z podębem i plany jakieś snuł w głowie. Szacował przytem uczucia Anki do Godlewskiego, i zastanawiał się nad tem, jak wielkie ofiary gotowa ona dla niego ponieść. W końcu ale zdecydował się, za żadną cenę uwięzionego nie uwalniać, a dziewczynie oświadczył, że sprawę wpierv rozpatrzy i skoro tylko przekona się, że niema żadnych przeszkód, każe burmistrza uwolnić.

Anka stała oparta plecami o ścianę i polykając łzy, tłumila w sobie gwałtowne wybuchy płaczu.

Starostka pochłaniał ją oczyma, wcałowowywał się spojrzeniem w jej cudne, zażawione oczy, rozchylone karminowe usta i bujne złotawe włosy. Jakieś dziwne drżenie opanowało jego członki, serce biło mu spieszniej w piersiach, a tętno krwi, waliło w skroniach jak młotami.

Starszym już był człowiekiem, przechodził różne koleje w życiu, nie jedną urodliwą kobietę widział i posiadał, a jednak, żadna tak dziwnie nie działała na niego, jak ona. Czuł, że dla niej zrobiłby wiele, że nie odmówiłby jej niczego, ale zazdrość grała w nim rolę, więc teraz nie mógł zdobyć się na tyle szlachetności, aby wyrzeknąć się samemu śmiałych rojeń, przyłożyć rękę do szczęścia dwojga osób i uwolnić Godlewskiego. On, pragnął mieć tę dziewczynę za jakąkolwiek cenę. Teraz zaś zdało mu się,

że łatwiej ją posiedzie, jeśli rywala będzie miał w swoich rękach.

Anka, ponowiwszy raz jeszcze swoje błagalne prośby, opuściła mieszkanie Grabińskiego.

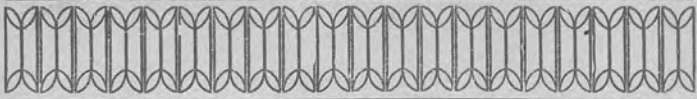
Jakkolwiek z odpowiedzi podstarościego wniosła, że u niego nie uzyska żadnych względów, nie opuściła rąk bezradnie, ale postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby tylko burmistrza uwolnić. W niewinność jego i szczerze uczucia tak głęboko wierzyła, że gdyby nawet cały Leżajsk z okolicą przyszedł na niego ze skargą i dowodził mu najbardziej nieczne czyny, nigdyby temu nie dała wiary.

W jej sercu był on czysty jak lza, a że uniósł się i zawinił przeciw Zawadzie, toć tylko w obronie jej własnej czci. Była więc dumną z jego miłości; stokroć bardziej jeszcze pokochała go od chwili jego uwięzienia.

Ale mijał dzień za dniem, a Grabiński — mimo przyrzeczeń rozpatrzenia sprawy — burmistrza wypuścić z lochów ani myślał.

Ojciec Godlewskiego wniósł protestację przeciw uwięzieniu syna, przyjaciele jego również poczynili starania, aby go czemrychlej uwolnić, ale sprawa nie była rychłą do rozstrzygnięcia. A podstarości nie lękał się nikogo; miał ręce wolne z tytułu swojej władzy, więc działał według własnych zapatrywań.

Anka starała się bodaj obaczyć ukochanego, chciała przesłać mu jakie wieści od siebie i dowie-



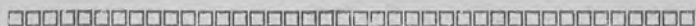
VI.

Jak ułudna baśń ziemi — nastala cudna, pogodna jesień.

Świat nurzał się w słonecznym, delikatnym oplocie. Wiatr zwinął na długo swoje skrzydła i usnął gdzieś na ścierniskach, a w sennem powietrzu, snuły się drżące, srebrne, pajęczce nici. Opustoszałe pola jeżyły się żółtymi ścierniskami, miejscami, widniały szare pasma zoranej gleby, nad którymi unosiła się dziwna melancholia.

Gdzieś w dali pod lasem, wzbijał się niekiedy w górę biały pióropusz dymu z płonącego ogniska, czasem, odzywał się smętny głos pastuszej ligawki, a wtedy uśpiony wiatr budził się na chwilę, podnosił się z lekka i unosił na swoich skrzydłach rzewne, melancholijne pienia, które jak perły rozsypywał w przestworzach.

Noce były dziwnie głucho. Grobowa cisza panowała wszechwładnie, że nawet żaden listek na drzewie nie zaszemrał. Białe opary wlokły się



nisko nad ziemią i jak grobowe całuny, otulały drzewa i sadyby ludzkie. Przez mgły, patrzył na ziemię blady księżyc, jakby przez gęste sito, rzucając wokół słabe blaski.

Przesądny lud opowiadał sobie, że w takie smętne noce, widywano często, jak śmierć kroczyła po polach, jak za nią długim korowodem postępowali nieboszczycy, w górze zaś nad tym pochodem, unosiły się z żałobnym pogwizdem gromady puszczyków. A wtedy, psy po wsiach budziły się także z uśpiania, i przejmujące wycie rozlegało się między domami.

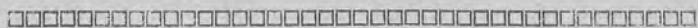
Takie wieści o pochodzie śmierci, poczęły chodzić w okolicach Łańcuta i Leżajska, od chaty do chaty, a lud słuchał je z przejęciem, kładł znak krzyża na piersiach i, opowiadał sobie dziwa o jakimś zbliżającym się nieszczęściu.

W pewną noc, na skraju lasu w Giedlarowej, zebrała się wielka gromada chłopów. Kilka płonących szczap drzewa, rzucało wokoło skąpo światła. Narada odbywała się cicho, jakby lękali się, aby kto nie podsłuchał ich rozmowy.

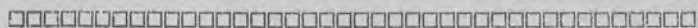
Między zgromadzonymi, siedział na ziemi ksiądz Prokop, a chłopci skupili się w koło niego, i bacznie jego słów słuchali.

A on, wpatrzony w trzaskający ogień, prawił im przyciszonym głosem.

— Wiadomo wam moi drodzy, że coś się święci... Jakaś zła dola, wojna, czy też mór, idzie



ku nam... Zapowiadają to jakieś dziwne przepowie-
ści ludu, a i z miasta — idą głosy niewesołe. Dziś,
nam tu już brakuje kilku, bo i Kupras i Kulpa i Dzik
i tylu innych jęczą jeszcze w lochach zamkowych
w Leżajsku, za to, że upominali się o krzywdę ludu.
Ale ofiar zawsze nam potrzeba, bo gdzie ich niema,
tam niema i zwycięstwa nad nieprawością. Nie po-
mogły królewskie mandaty i dalej was ekono-
mie starościńscy gnębią, więc nie upadajcie jeszcze
na duchu, ale razem występujcie przeciw bezpra-
wom, zawsze kupą i zgodnie. Żądają od was więk-
szej pracy, aniżeli inwentarze obowiązują, więc od-
mówcie. Ale wszyscy — cała wieś! Przywiodą
dziś o świcie po was zamkowych hajduków, nie
dawać się brać w jarzmo, was więcej — więcej im
zdzierżycie. Gdyby zamek zgodził się na sprawie-
dliwy rozdział pracy — idźcie. Odrobić swoje każdy
musi, byle tylko nie ponad miarę. Inne wsie, to
samo czynić będą. Wiedźcie przecie, że wy wszyscy
razem w kupie, to moc, potęga i postrach na pa-
chołki zamkowe! Zamek będzie zrazu się złościł
i groził, będą was najeżdzać hajducy, ale długo to
nie potrwa. Trudno im będzie prowadzić wojnę ze
swoimi, skoro niezadługo z pobliskim sąsiadem
Dyabłem, jakaś wojna wybuchnie. A że wybu-
chnie, to pewne, bo te znaki w okolicy o których
mówią, tylko bliski rozlew krwi i zniszczenie
przepowiadają. Tylko miejcie baczenie, z kim
i przeciw komu iść, gdyby Dyabeł Stadnicki — pan

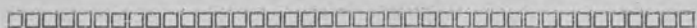


z Łańcuta, rozpoczął wojnę ze starostą Opalińskim. Pod starostą Opalińskim, a właściwie pod rządami jego ekonomów — żyć ciężko, bo wyzyskują was i poniewierają; wiecie jednak, że oni, chociaż są źli i wyzyskiwacze, ale zawsze swoi. Pan z Łańcuta stokroć gorzej jeszcze uciska swoich poddanych, a przytem — człowiek nie naszej wiary. Profanował on już i obdzierał kościoły, wyrzucał hostye na drogę, a naczynja kościelne — jak głoszą wszędzie — w lochach łańcuckich na pieniądze teraz przerabia. On dla nas raz na zawsze pozostanie wrogiem, boć to innowierca i profanator naszej religii; więc choćby wam jak kto przemawiał, że lepszy on od leżajskich zamkowych panów — nie wiercie!

Przestał na chwilę mówić dla wytchnienia — i cisza zaległa wokół. Tylko ciężkie oddechy gospodarzy odzywały się miarowo, i ogień trzaskał, podsycany dokładaniem paliwem.

Wreszcie ozwał się przyciszony głos gospodarza Leji.

— My ta proszę jegomości tak po chłopsku myślimy, że jakby ten pan z Łańcuta, zaczął wojnę z naszym starostą, to będzie dla nas może i lepiej, bo zamek będzie musiał nam pofolgować. Przecie ze swoimi poddanymi i z tym panem Dyabłem, nie będzie mógł zamek wojować i dawać sobie radę.



— Prawda to, prawda! — potakiwali inni gospodarze.

— Może macie i słusność moi drodzy —, ozwał się ksiądz. — Zamek niema teraz ludzi do obrony, a ta garstka hajduków i chłopów, trzymających strażę, razem z ludźmi starosty w Łące, nie zapewnia przecie długiej i skutecznej obrony, przeciw sabatom, tatarom i kozakom Dyabła. Dlatego wam radzę, abyście trzymali stronę zamku leżajskiego, gdyby Dyabeł z Łańcuta wojnę zaczął. Lepiej wam przecie wspomagać swego, jak przeciwnika katolickiej wiary!

— Ano, prawda, prawda! — zawołali chlōpi chórem, kiwając głowami.

Ogień przygasał. Zrobiło się prawie ciemno, że ledwie kontury osób w okół siedzących, można było rozróżnić.

— Mnie w drogę czas, północ bliska — ozwał się ksiądz, podniósłszy się z ziemi.

Za jego przykładem powstało również kilku chlōpów.

— Jeno baczcie, aby zgodnie razem się trzymać — radził im jeszcze na odchodnem. — Ale zawsze wszyscy, cała wieś; niech żaden nigdy sam niczego nie poczyna.

Pożegnał ich słowem bożem i odszedł. Turkot wozu ozwał się na drodze i przycichnął niebawem w oddali.



Wszyscy pokładli się na ziemi. Pierwsza to noc dla nich była, że na spoczynek umknęli do lasu, zostawiwszy w domach same kobiety i niedołężnych starców. Przed świtaniem, spodziewano się właśnie we wsi zamkowych hajduków, którzy mieli spędzać chłopów za miasto — nad San, celem sypania warownych okopów.

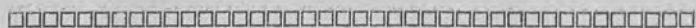
Praca ta trwała już od kilku tygodni. Całe wsie, po kolei, werbowano do niej, nie wyróżniając przytem żadnego poddanego, więc każdy musiał kopać ziemię przez szereg dni, bez sprawiedliwego porachunku.

Po całej okolicy, podnosiły się ustawicznie skargi i głosy niezadowolenia. A jeśli chłopi z niektórych wsi — oburzeni tem przeciążaniem — w dniu oznaczonym do pracy nie stanęli, zgraja zamkowych hajduków zjawiała się we wsi zaraz nazajutrz o świcie, i nahajami pędziła nieposiusznych nad San.

Dzień miniony, był właśnie terminem dla Giedlarowej i Dębna. Nie stanął jednakże żaden chłop z tych wsi do roboty.

Kończkowski popadł we wściekłość.

Do świtania daleko jeszcze było, kiedy wybrał się w towarzystwie zamkowych pacholków do Giedlarowej. Było ich wszystkich ze trzydziestu. Szli wolno, bo czasu mieli sporo, a droga była nie daleka.



Szaro robiło się na świecie, kiedy przy pierwszych domostwach ozwały się psy, które posłyzały zbliżających się ludzi.

Między domami, wnet rozprószyła się gromada pacholków.

Kołaczkowski podparł się pod boki i czekał na drodze, klnąc w okropny sposób, że dla chamskiego nieposłuchu musiał tak wcześnie spanie przerwać.

Po niedługim czasie, poczęli hajducy wracać — ale sami.

— Gdzież te chamy?! — krzyknął rozwścieklony ekonom.

— Niema we wsi ani jednego — odparł pierwszy z przybyłych.

— Jakto niema?! Cóż to, zażaza ich wydusiła?!

— Uciekli przed robotą.

— Co?! Uciekli?! — wrzasnął Kołaczkowski, a twarz ze złości aż mu posiniała.

— Wszyscy pouciekali, aby na pańskim nie robić. Ani jednego chłopca we wsi niema.

Ekonom uszom swoim nie wierzył. Trafiało się bowiem czasem, że opóźniali się nieraz chłopcy do roboty, że z ważnych domowych powodów nie stawiali się nawet całkiem, ale nie było wypadku, aby gromadnie z całej wsi, usuwali się od roboty dla zamku.



— Przyprowadzić mi tu zaraz kilka bab! —
rozkazał wściekły sługa starościński.

Hajducy rzucili się, aby rozkaz spełnić. Wnet przywlekli cztery rozespiane, przestraszone kobiety, ledwie napół ubrane.

— Mąż wasz kiedy z domu wyszedł?! —
zagadnął ekonom pierwszą.

— Wczoraj panie, przed nocą... — brzmiała
cicha, drżąca odpowiedź.

— Dokąd poszedł?!

— Nie wiem... Szli inni, poszedł i on...

— A kto im przewodził?!

— Nie wiem...

— Łżesz babo! Mów, kto ich zwał?!

— Nie wiem! Ja nikogo nie widziała...

— Łżesz, bo nie chcesz mówić!

Ona uderzyła w głośny płacz.

— Nie widziałam nikogo... nie wiem o niczem...

Zwrócił się do drugiej kobiety.

— A twojego kto namawiał?!

— Nikt proszę waszej miłości...

— Nikt?! To on pewnie sam innych ciągnął
do buntu?!

— Nie panie... nie... on nikogo nie ciągnął,
oni wszyscy razem szli...

— Hej Fedor! — huknął naraz głos Kołacz-
kowskiego.

Z gromady hajduków wysunął się suchy, wy-
soki drab o skośnych oczach.



— Weź-no ty na rozmowę te baby. Możesz je trochę polaskotać, tak, jak ty umiesz, to wnet wyśpiewają coś więcej!

Sam z kilku pachółkami poszedł w głąb wsi. Otwierał z trzaskiem drzwi, wchodził do wnętrza chat, i przeszukiwał wszystkie kąty. Zbudzone ze snu dzieci i przestraszone kobiety uderzyły w płacz.

Kołaczkowski wściekał się, lżył i przeklinał, indagował każdą kobietę osobno, gdzie chłopci poszli i kto im przewodził.

Nie wiedziały.

Zeznawały wszystkie zgodnie, że poszli wczoraj wieczorem, a dokąd — nie wiedzą.

Przywiedli hajducy jakiegoś niewidomego starca.

Siwy był jak gołąb, twarz miał trupio bladą, wynędzniałą, a oczy szeroko rozwarte, zasnute bielkami. Stać nie mógł na nogach, trząsł się cały, dyszał ciężko i jęczał.

— Kto ze wsi powiódł waszych chłopów? — zagadnął go ekonom.

Chłop podniósł głowę i jakby się namyślał.

— Kto? mów!

— Bóg ich kroki poprowadził — począł stary powolnym głosem. — Nie było już mocy zdzierzyć wam panowie; chcieliście z nas zrobić bydłeta, aby wam każdy dzień robiły, a nie baczyście na to, że każdy chłop ma przecie w domu rodzinę swoją, na



którą także pracować musi; bo jak ona wyginie, to kiedyś i na was nie będzie komu robić...

— Nie pytam was o kazanie — krzyknął Kołaczkowski — ale o to, który chłop przewodził?!

— Jeden drugiemu panie... wszystkim wraz bieda przewodziła, a Bóg drogę wskazywał...

— Dokąd poszli?

— Nie wiemy.

— Jakto nie wiecie? Nie mówili nic, czy wróca, albo kiedy wróca?

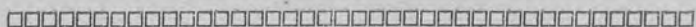
— Da Bóg, to pewnie wróca, a nie, niech się stanie wola Jego.

Złożył ręce jak do modlitwy i głowę nisko pochylił.

Pierwsze promienie słońca, drgające jeszcze dreszczem przebudzenia, padły na białą głowę starca.

Kołaczkowski, mimo swojej gwałtownej natury, patrząc teraz na niego, uczuł się jakoś dziwnie tknięty; coś szarpnęło jego sercem i niewysłownym uczuciem poczęło napawać. Patrzył długą chwilę na starca i w milczeniu usunął się na bok. Jakiś głos w duszy począł mu szeptać, że ten siwy człowiek, stojący prawie nad grobem, miał prawo odmówić mu wyjaśnień, skoro nie traktował go po ludzku i nie uszanował jego starości.

I po raz pierwszy przeszła mu przez głowę myśl, że gdyby wszyscy chłopci okoliczni rzeczywiście bunt podnieśli przeciw zamkowi, to byłaby



to sprawa całkiem poważna, z którą trzebaby się koniecznie liczyć.

Kosooki Fedor zjawił się nareszcie i ozwał się z dumną miną, rad, że sprawę odkrył.

— Proszę waszej miłości, chłopci wszyscy są w lesie.

— Przyznały się baby? — podchwycił ekonom.

— Tylko jedna, ale dopiero po łaskotkach.

— A kto ich zmówił?

— Ksiądz jakiś.

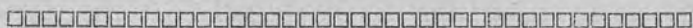
— Co? znowu ten ksiądz? Już całkiem przy-
cichło o nim w okolicy, a teraz znowu się pojawia?

Zwołał wszystkich hajduków i kupą ruszyli w stronę lasu.

Zaraz między pierwszemi drzewami, spostrzegli wielkie, przygasające ogniska, świadczące, że przed chwilą zostały opuszczone. Hajducy poszli w głąb lasu. Długo szli rozrzuconą linią, nie napotkali jednak nikogo.

Wobec tego Kołaczkowski kazał zawrócić. Przedostali się wnet na drogę i poszli z powrotem w stronę Leżajska.

Ranek był zimny, ale pogodny. Słońce spoglądając na ziemię, prześwietlało szare płachty oparów, nad ziemią nisko rozpostarte, mieniając się na ścierniskach w tysiącznych barwach rozsypa-
nych pereł szronu. Wysoko nad polami, wlokły



się stada wron, które żalobnem krakaniem napelniały przestworza.

Hajdacy podążyli naprzód ku miastu, Kołaczkowski pozostał w tyle. Na wzgórzu przystanął i rozejrzał się. W dole, pomiędzy szkieletami ogołoconych z liści drzew, widniały rozrzucone chaty giedlarowskie.

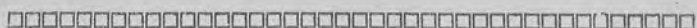
Głowę ekonoma zaprzątneły jakieś dziwne myśli, a smutek omotał serce. Przed jego oczyma przesunęły się wspomnienia obrazu, widzianego we wsi przed godziną. W chaosie dziwnych drgnień duszy, przypomniał mu się ten wiekowy starzec, z aureolą siwych włosów, który mówił drżącym głosem:

— Nie było już mocy zdzierzyć wam panowie... chcieliście z nas zrobić bydłeta...

Nie było mocy zdzierzyć!

Kołaczkowski jał wspominać sobie, ile to tych niesprawiedliwych dni pracy on sam wymuszał na tych biednych chłopach, ile to krzywdy wyrządzono im takim postępowaniem, a nikt w zamku nie liczył się z tem, że ci chłopci mają przecie swoje rodziny, które w nędzy ostatniej wiodły swój żywot, bo nie było komu ująć się za nimi.

I jał mu się przypominać jego własny ojciec, taki sam siwy dziaduś, jak chodził na dworską robotę i przeklinał pana i ekonomów, za wyzysk i przeciążanie robotą.



— Ten stary z Giedlarowej ma słuszość — mruknął sam do siebie, zwiesił głowę i w zadumie ku miastu podążył.

Na zamku oznajmiono mu, że chłopci z Dębna dziś również nie stawili się do pracy.

Zaraz — na rozkaz Grabińskiego — ruszyli hajducy z Kołaczkowskim w stronę Dębna.

Przed samą wsią, spotkali na drodze gromadę chłopów.

Pod wrażeniem zajścia w Giedlarowej, był już Kołaczkowski dzisiaj pokojowo usposobiony. Podszedł więc zaraz ku nim i począł spokojnie prawić o posłuszeństwie, jakie winni byli zamkowi, wzywając ich, aby szli zaraz do pracy.

— My tam do was przyjdziemy wnet, ale z inną robotą! — ozwał się jakiś groźny głos z gromady.

— Przyjdziemy porachunki zrobić z panami! — dorzucił drugi.

— Dość nam już ekonomskich rządów!

— I biedy nam już dość!

— Krwawicy naszej, dość się już najedli!

Odezwały się podobne wołania z różnych stron.

Kołaczkowski cofnął się. Widząc bowiem wzburzonych chłopów, nie chciał prowadzić z nimi żadnych układów. Odezwał się tylko spokojnie, że przyszedł nie od siebie, ale w imieniu zamku i niema wcale zamiaru z nimi się spierać.

Słowa jego zagłuszyły jednak krzyki chłopów, którzy poczęli napierać na hajduków. Nie było więc już mowy o żadnych układach albo upomnieniach, dlatego też celem uniknięcia starcia, nakazał ekonom odwrót do miasta.

Grabiński zaniepokoił się ogromnie wiadomością o buncie chłopskim. Zamek leżajski był bowiem teraz zewsząd jak podminowany. Większa część mieszkańców miasta, wrzała gniewem na starostkę za uwięzienie burmistrza, okoliczni chłopci burzyli się za wyzyskiwanie ich w pracy, a sąsiad z Łańcuta, Dyabeł Stadnicki, coraz to nowsze zaczepki wynajdywał, aby mieć powód do rozpoczęcia wojny. Przyjaznej strony, nie miał Grabiński obecnie nigdzie.

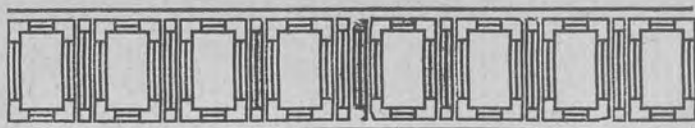
To też wysłuchawszy relacji Kołaczkowskiego, zwrócił się w stronę rezydenta i ozwał się:

— Niema rady, musimy tym chamom trochę popofolgować. Dziś, trzeba będzie rozpuścić połowę uwięzionych chłopów, za tydzień drugą.

— Ano, jak musimy, to trudno — potwierdził sennym głosem Głuchowski.

Kołaczkowski, który nigdy dotąd nie uznawał żadnych ulg w sprawach poddanych chłopów, po tem oświadczeniu podstarościego, uczuł w sobie dziś — pierwszy raz — jakieś wielkie zadowolenie.





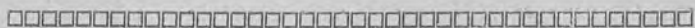
VII.

Przeminęła zima.

Od chwili uwięzienia Godlewskiego, nie miała Anka o nim żadnej wiadomości. Martwiąc się losem ukochanego, mizerniała dziewczyna coraz bardziej.

Nie była to już ta sama, żywa Anka, która zapełniała dziedziniec zamkowy swoim srebrnym głosem, która miała zawsze nawet dla każdego hajduka jakieś życzliwe słowo, ale stała się dziwnie milczącą, zamkniętą w sobie i zadumaną, a uśmiech nigdy nie pojawiał się na jej obliczu.

Rodzice, patrzali całkiem obojętnie na zmianę zaszłą w usposobieniu córki. Matka nie troszczyła się wiele o nią, będąc przez cały dzień zajęta gospodarstwem, ojciec zaś, rad był nawet w duszy, że się dziewczyna ustatkowała. Dawne plany oddania córki Czerskiemu, odżyły na nowo w jego głowie, dzięki zabiegom pana Grabca i Dزيدiń-



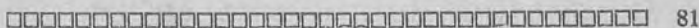
skiego, którzy kilkakrotnie wznawiali z nim już tę sprawę, przy szklanicach w gospodzie u Dubiela.

Anka dobrze wiedziała o tych układach. Jakkolwiek w smutku i umartwieniu pędziła życie, i z nikim nie utrzymywała przyjaznych stosunków, był jednak ktoś, co czasem doniósł jej z miasta jakąś nowinę. Tym jedynym przyjacielem dziewczyny, był teraz stróż od wchodowej bramy — stary Karaś. Nawiązane stosunki przyjaźni przez Godlewskiego, pozyskała teraz u niego Anka.

Stary, często zachodził wieczorem na wirydarz i zanosił dziewczynie rozmaite wieści, jakie gdzie postyszał. Pocieszał ją przytem zawsze, że wnet już wniesione protestacye w sprawie uwięzienia burmistrza, będą w grodzie rozpatrywane.

Dziewczyna miała jednak w głowie inne myśli. Jej nie chodziło już o to, czy protestacye będą wnet rozpatrywane — czy nie; zrezygnowała już z tego dawno, czy sądy uznają niewinność burmistrza, bo w jej sercu był on tylko ofiarą złości Grabińskiego. Jej zależało tylko na tem, aby ukochanego uwolnić z więzienia jak najrychlej.

Niejedną już noc przemyślała nad planami ucieczki Godlewskiego, ale wszystko rozbijało się zawsze z powodu czujności Sojki, który na chwilę nie oddalał się nigdy od drzwi wiodących do lochów, a nie było żadnego sposobu, aby można było zjednać sobie jego względy.





Karaś próbował już nieraz jeden prosić go i przekupywać, aby tylko na chwilę ułatwił Ance widzenie się z burmistrzem, ale psia wierność Sojki — była nieugięta. Warknął tylko coś w odpowiedzi, łysnął groźnie oczyma i odwracał się, nie chcąc nawet o tem słyszeć.

Raz, wieczorem, kiedy Anka zwyczajem swoim przechadzała się po wirydarzu, zatopiona w rozmaitych kombinacjach uwolnienia Godlewskiego, podszedł ku niej Karaś i rozglądając się trwożliwie, oznajmił jej, że podstarości wysyła jutro Sojkę z ludźmi do Łąki, a lochy więzienne, poruczono w zastępstwie pilnować jemu przez całą dobę.

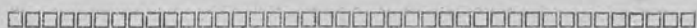
Wiść ta ucieszyła dziewczynę niezmiernie. Zaświtała wreszcie nadzieja, że obaczy ukochanego i plan ucieczki z nim ułoży.

Przez całą noc nie spała. Przemysłiwiała tylko nad tem, jakim zastanie burmistrza obecnie i, czy nie zmienił się dla niej w uczuciach.

Świt pobielił już ściany izdebki, kiedy dopiero sen zmorzył jej powieki.

Śnił jej się Godlewski. Taki był wesół i uśmiechnięty, tak serdecznie do niej przemawiał, tulił do siebie i pieścił, jak ptaszynę drobną, a serce w niej biło niespokojnie, rozmarzone niewymownem szczęściem.

Zbudziła się dosyć późno.



O zmierzchu widziała się z Karasiem. Zalecił jej, aby zaraz po pierwszym obwołaniu straży nocnych była gotową.

Stawiła się na czas oznaczony. Odźwierny zjawił się niebawem.

Weszli do ciemnej sieni, tchnącej pleśnią i wilgocią. Karaś zapalił smolną szczapę drzewa, otworzył zardzewiały zamek i ciężkie drzwi odchylił. Znaleźli się w małej celce.

Jakaś postać poruszyła się i podniosła z barłogu.

Anka wlepiła oczy przed siebie i zachwiała się na nogach. Przed nią stał nie urodziwy, zdrowiem tryskający, o żywych, pogodnych oczach Godlewski, ale zarośnięty, brodaty człowiek, z twarzą bladą, wynędzniałą.

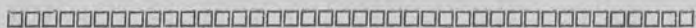
Dziewczynie na ten widok głos uwiązł w gardle, nie mogła słowa wydobyć ze siebie.

— Anulka! — zawołał naraz więzień, przypadając ku niej. — Jakim cudem zjawiasz się tutaj? Gdzie mój opiekun, Sojka?

Parę słów odpowiedziała mu szeptem, wreszcie wybuchnęła głośnym płaczem.

On począł ją pocieszać.

— Serdeczna moja... nie płacz... no... Anulko słodka... Nie wiedziałem nic o tobie, bo nie było sposobu... Myślałem, żeście już zapomnieli o mnie...



— Nie mów tak — szepnęła cicho. — Gdybym zapomniała, nie byłabym dzisiaj tutaj, nie przepe-dziłabym tyle nocy bezsennych...

Na podziękę, począł obsypywać jej ręce pocałunkami.

— Dziękuję serdeczna moja... dziękuję... za serce dobre... za pamięć... i za te odwiedziny...

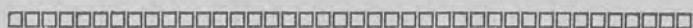
— Gdzież Sojka? Jak dostaliście się tutaj? — zapytał po chwili

— To Karaś tak urządził.

— Karaś? Poczciwy, stary mój przyjaciel! Uściskał go jak brata.

Rozmowa poszła wnet raźniej. Odzwierny przysiadł przy progu, i zmieniał dopalające się smolne patyki.

Kochankowie nie spostrzegli się nawet, jak sporo czasu upłynęło im na pogawędce. Anka proponowała do ucieczki rozmaite sposoby, ale plany jej, nie nadawały się Godlewskiemu. On miał swoje własne pomysły, które dawno zamierzał w czyn zamienić; dotychczas jednak nie mógł tego dokonać, gdyż nie miał nikogo, ktoby mu w tem dopomógł. Przedstawił więc swój plan Karasiowi, umówił się z nim co do wszystkich szczegółów, aby zaś nie ściągać na niego żadnego podejrzenia, postanowiono odłożyć ucieczkę na parę dni po powrocie Sojki.



Poczęli się żegnać. Anka przypadła do piersi burmistrza i długo nie mogła się odeń oderwać, łkając z cicha.

A stary Karaś, patrząc na oboje, szeptał wielce rozrzewniony:

— Niechaj was Bóg szczęściem jak najprędzej obdarzy...

Wyszli.

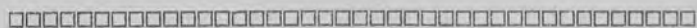
Z uczuciem wielkiego żalu, stał Godlewski i patrzył w stronę zamykających się drzwi, za którymi zniknęła ukochana. Długą chwilę jeszcze śledził uchem ostatnie szelesty przyciszonych kroków.

Niespodziane zjawienie się Anki, obudziło go nagle z drętwicy duchowej, napelniając jego serce otuchą i radością. Otrząsnął się z apatii, jaka w całości nim zawładnęła, i uczył teraz znowu gorącą chęć do życia i wolności.

— Byle tylko wyrwać się z tej nory! — szeptał teraz co chwila, krzepiąc się nadzieją rychłej wolności.

Nazajutrz wieczorem, powrócił Sojka z Łąki i, stróżowanie zeszło na dawne tory.

Minęło dni kilka bez żadnej zmiany. Anka nocami spać nie mogła i śledziła zawsze bacznie, czy nie posłyszysz umówionego znaku, jaki miał jej dać Karaś, gdyby Godlewski oswobodził się z więzienia.



Aż raz, w ciemną, bezksiężycową noc, doszło jej uszu odezwanie się puhacza. Powtórzyło się ono raz, drugi i trzeci. Dziewczyńie serce poczęło walić jak młotem. Ubrała się z wielkim pośpiechem i cicho wymknęła się na wirydarz. Ledwie postąpiła kilka kroków, zastąpił jej drogę Godlewski.

— Pożegnać cię chciałem Anulko — ozwał się szeptem, przygarniając ją ku sobie.

Rozmawiali ze sobą nie długo, bo Karaś naglił, że czas do drogi, a ojciec burmistrza i przyjaciele, oczekują już opodal zamku.

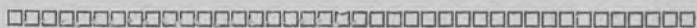
• Serdeczny uścisk, gorący pocałunek i, młodzi rozeszli się na długo.

Anka łkała cicho. Pozostała na wirydarzu sama, ze smutkiem przeogromnym w duszy. Jak przykuta do ziemi, stała wsparta o drzewo, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Dopiero o świtaniu, ocknęła się nieco i wolnym krokiem opuściła wirydarz.

Na dziedzińcu zamkowym ruch panował już wielki, kiedy rozległ się naraz krzyk i hałas.

— Godlewski uciekł! — rozniosło się wnet po całym zamku.

Sojka biegał jak opętany, a za nim hajducy. Poczęli przeszukiwać wszystkie zaułki, izby czeładne, strychy i świerzeń, zwołano chłopów, trzymających straż w wieżyczce nad główną bramą,



ale żaden nie zauważył, aby ktoś przedostawał się nocą poza zamek.

Odźwierny Karaś dowodził, że żaden ze strażników w nocy nie zasnął i wszyscy pilnie strzegli bramę.

Ślad po Godlewskim zaginał, a wielki wyłom w murze — tuż przy samej ziemi — dowodził, że ten, który go zrobił, musiał mu poświęcić wiele żmudnej i cichej pracy, aby nie wzbudzić czujności strażników.

Grabiński powiadomiony o ucieczce burmistrza, zjawił się zaraz na dziedzińcu. Sojka przypadł mu do nóg i począł z płaczem opowiadać o swojej niewinności, bo strzegł więźnia — jak oka w głowie.

Ale wściekły starostka, nie chciał słuchać jego lamentów. Odtrącił go nogą od siebie i kazał przywołać Kołaczkowskiego.

Ten zjawił się natychmiast.

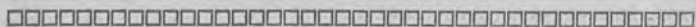
— Rozesłać hajduków w pościg na wszystkie strony! — dał rozkaz Grabiński.

— Posłałem już konnych przed chwilą — tłumaczył się ekonom.

— Dom starego Godlewskiego trzeba przeszukać!

— Dałem już rozkazy.

— Sojkę zamknąć mi zaraz do lochów, a strażników nocnych i Karasia oćwiczyć!



— Zaraz będzie rozkaz spełniony!

— A dać mi zaraz znać, jak tylko wrócą hajduki! — rzucił jeszcze zlecenie i odszedł szybko, tamując w sobie gwałtowne wybuchy gniewu.

W głowie Grabińskiego poczęła kiełkować myśl, że nikt inny nie mógł być wtajemniczony w ucieczkę burmistrza — tylko Anka. Jej tylko przypisywał winę, że więzień umknął, gdyż w całym zamku nikomu więcej na tej ucieczce nie zależało, tylko jej właśnie. Ona więc tylko — jego zdaniem — mogła całą ucieczką pokierować, plan obmyślić i dać pomoc. Ale dowodów pewnych starostka na to nie miał.

Kiedy zeszedł się z rezydentem i o tej sprawie prawić poczęli, ozwał się do niego.

— Waść, gdybyś chciał, mógłbyś się dowiedzieć czegoś o tej ucieczce burmistrza.

— A ja skąd znowu? — poderwał ciekawie Głuchowski.

— Bo córka waści coś o tem wiedzieć będzie.

— Moja Anka?

— Ano pewnie.

Rezydent obruszył się tem podejrzeniem.

— Waszmość, jak widzę, od jakiegoś czasu uwziąłeś się na nią. Jej w głowie tak samo Godlewski, jak i waść sam.

Podstarości zagryzł wargi ze złości i nie odezwał się więcej. Chwilę później, kiedy przechodził przez dziedziniec, napotkał splakaną Ankę



To go wielce zastanowiło, gdyż na jej obliczu spodziewał się raczej ujrzeć wesoly uśmiech, a nie łzy. Przejrzał się więc jej ciekawie i poszedł dalej, kombinując rozmaicie, co mogło spowodować płacz u tej dziewczyny.

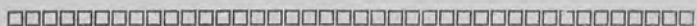
Anka płakała rzeczywiście, ale z powodu rozkazu starostki, na podstawie którego oćwiczono niemiłosiernie poczciwego Karasia.

Tymczasem burmistrz, wydostawszy się poza bramy zamku, napotkał zaraz na oczekującego ojca, oraz przyjaciół Chomina i Łysiarza. Ci opatrzyli go na drogę i podprowadzili aż pod sam las.

Godlewski zniknął między drzewami. Znał ścieżki dobrze, bo nie raz jeden tędy przechodził. Drogą nie kierował się, w obawie napotkania kogoś, kto mógłby donieść ludziom zamkowym, dokąd poszedł.

Słynne były podówczas pasieki starościńskie w lasach leżajskich, szeroko o nich prawiono w całej ziemi przemyskiej, bo dostarczały szlachcie przedniego trunku. Ale pasiece, wzorowo prowadzonej przez Jakóba Baja w Jelnej, liczącej około 200 pni, nie mogła żadna dorównać.

Pasiecznik mieszkający samotnie w małej chatce, był już człowiekiem steranym, siwym, ku ziemi pochylonym. Długie lata spędził on między temi barciami. Nie ruszał się stąd nigdzie, do swoich pszczoł cały dzień tylko przygadywał, troskał się o nie, opatrywał ule, a tylko raz, lub dwa razy do



roku, wybierał się do kościoła w Leżajsku. Od ludzi stronił i nie lubił ich towarzystwa, a jeśli kiedy z konieczności wypadało mu z kim mówić, zbywał każdego krótko, kończył rozmowę i usuwał się. Służył wiernie zamkowi, ale zamkowych ludzi nie lubił.

Godlewski znał starca przez swego ojca, którego ze starym bartnikiem — za młodych lat — przyjaźń bliższa łączyła. Nie spodziewał się jednak zbyt serdecznego przyjęcia u pszczelarza, wiedząc o jego dziwactwie; chodziło mu ale głównie o to, aby mógł przesiedzieć u niego przez czas pościgu, a potem — udać się w dalszą drogę.

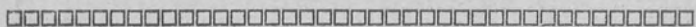
Baj, kręcił się już koło uli, kiedy o szarym świcie, zdążył Godlewski do niego. Bartnik powitał go oziębło. Ten zaś, wspomniawszy mu swego ojca, wreszcie wyraził cel swego przybycia, opowiadając powody, dla których uciekać musiał z miasta.

Stary patrzył mu w twarz swemi płowemi oczyma, zdawał się badać z jego oblicza prawdziwość opowieści, po chwili zaś rzekł krótko, biorąc się dalej do swego zajęcia:

— Zostań!

Godlewski został.

Około południa, obok chatki bartnika, pojawili się dwaj zamkowi hajdacy. Burmistrz był właśnie w izbie i zoczył ich przez okno. Serce poczęło w nim bić niespokojnie. Baj wyszedł i coś do nich



Przez dwa tygodnie pozostawał Godlewski u bartnika i tak przywykł do tego milczącego starca, że z żalem serdecznym dom jego opuszczał, żegnany słowami:

— Boże cię prowadź!





Pod Albigową, ustanowił samowolnie cło, następnie zaprowadził u siebie doroczny jarmark na dzień 25 kwietnia, pędząc gwałtem do Łańcuta wszystkich kupców z towarami, zdążających na jarmark do Rzeszowa, odbywający się tam dwa dni wcześniej. Równocześnie też urządził zbrojny napad na kasztelana Ligęzę, z którym wiódł już długie, zacięte utarczki.

Dyabeł, nie mógł ani chwili spokojnie usiedzieć i gnuśnieć beczynnym w domu, dlatego też nie ukończywszy jeszcze zatargów z Ligęzą, poczyna już nową wojnę z Aleksandrem i Konstantym Korniaktami, o to, że śmieli upomnieć się u niego o należne im sumy pieniężne. Najeżdża więc ich dobra, niszczy folwarki, łupi chłopów, następnie organizuje wyprawę i na czele kilku chorągwi konnych i pieszych, wyrusza na wieś Sośnicę. Tam zdobywa zameczek, rabuje go z wszystkich drogocennych kosztowności i pieniędzy, pojmał Konstantego Korniakta, przebrał w odzież jednego ze swoich pacholków, przypasał mu do boku drewnianą szablę i osadziwszy na nędznej szkapie, wprowadza do Łańcuta w pochodzie zwycięskim, wśród złośliwych szyderstw i kpín, bicia w dzwony, odgłosu kotłów i piszczałek.

Zamknąwszy Korniakta w ciemnej, niechlujnej norze, grozi mu ustawicznie przez strażników więziennych ucięciem głowy, rozpuszcza swoich zaufanych pacholków, aby szpiegowali i pojмали



Czoło miał wysokie, nos regularny, zęby białe, które połyskiwały z pod wąsów i grubych, wyrzuconych warg, nadając jego twarzy wyraz groźny.

Przybrany był w piękny żupan i szeroki, złotem tkany pas, na którym zwisała szabla, ozdobna w drogie kamienie.

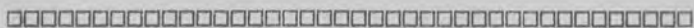
Komnata zamkowa — w której siedział Dya-
beł — była obszerna, jasna, okna wychodziły na wirydarz, tonący cały w kwiatach i zieloności. W jednej ścianie mieścił się olbrzymi, marmurowy komin, ozdobiony najdelikatniejszymi rzeźbami; w środku stał ciężki stół marmurowy, po bokach — ławy, pokryte drogimi kobiercami i skórą obite stolki. W kątach mieściły się misternie rzeźbione skrzynie. Ściany całe zasłane były gobelinami, pełnymi figur, tkanych na złotem tle, a u pułapu, zwisał ogromny, złocisty pajak, z rozwartymi szeroko ramionami.

Stadnicki niecierpliwił się. Podniósł się z krzesła i począł przechadzać się po rozścielonych na podłodze kobiercach, wreszcie przystanął przy oknie.

Uchyliła się przy drzwiach zasłona i wsunął się cicho Zegart.

— Już go wiodą proszę waszej miłości, a Ligas czeka na rozkazy — ozwał się pokornie, pochylając nisko głowę, że aż mu siwa, długa czupryna na oczy się zesunęła.





Za małą chwilę ukazał się Godlewski, prowadzony przez dwóch hajduków.

Dyabeł odwrócił się i ostrem, badawczym spojrzeniem, objął osobę przybysza.

Godlewski skłonił się i stanął w milczeniu.

— Waść skąd? — zapytał Stadnicki.

— Z Leżajska — brzmiała krótka odpowiedź.

— Kim jesteś?

— Zowię się Godlewski. W Leżajsku byłem burmistrzem, aż do czasu pojmania i uwięzienia mnie przez podstarościego Grabińskiego. Umknąłem stamtąd, bo jako szlachcic, bezprawnie byłem więziony, a nie mając gdzie się schronić przed pościgiem podstarościego, do czasu załatwienia protestacyi, chciałem szukać chwilowego przytułku u krewnych w Rzeszowie.

— Powiedz mi waść o całej sprawie, jak to było z tem uwięzieniem.

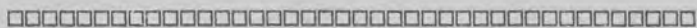
Dyabeł usiadł na ławie i wlepił swoje przenikliwe, badawcze oczy w burmistrza.

Godlewski rozpoczął całą opowieść od pierwszych objawów niechęci Grabińskiego ku sobie, aż do chwili swojej ucieczki, zamilczając jedynie tylko, komu głównie zawdzięcza uwolnienie.

Dyabeł słuchał bacznie, nerwowo targał brodę i iskry z oczu ciskał. Na twarzy przebijał mu się gniew, ale i dziwne jakieś zadowolenie.

Godlewski skończył opowiadanie.

— Zostań waść u mnie na zamku i, nie szukaj



pomocy u krewnych — ozwał się Stadnicki tonem łagodniejszym, podnosząc się z ławy. — Grabińskim i załatwieniem sprawy w grodzie, zajmę się sam.

Kazał Zegartowi przywołać Ligasa.

Wnet zjawił się wysoki, barczysty drab, o dużych, zwisających rudych wąsach.

Dyabeł rozkazał mu zabrać Godlewskiego, i dać mu miejsce obok innych dworzan.

Ledwie tylko wyszli, począł Stadnicki ręce zacierać i szybko chodzić po komnacie.

— Teraz nadarza się sposobność, do zajęcia się sprawą i osobą sąsiada Opalińskiego — mrucał sam do siebie. — Tacy jak on, to po starostwach siedzą, chociaż niczem w życiu zasług żadnych nie położyli, a mnie, za waleczność i ofiarę z życia pod Pskowem, uraczył dwór królewski zaledwie jurgieltem 1000 zł. Dziękuję im za ten wspaniałomyślny dar, i za to starostwo zygwulskie w Infilantach, w których pewnie nigdy nie będę. Skoro nie znalazłem sprawiedliwości u króla i nie dostałem tego, na co zasłużyłem, to może sam nagrodę dla siebie znajdę, jeśli sam będę brał, czego mi po słuszności nie dali!

Jakieś dziwne błyski tliły w jego oczach.

Godlewski, od pierwszych dni pobytu na zanku w Łańcucie, uczuwał w sobie dziwny niepokój. Każdy dworzanin, każdy pachol, wydawał mu się tutaj szpiegiem, badającym jego kroki. Gdzie

□□□

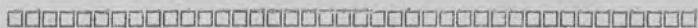
się tylko zwrócił, tam wszędzie widział utkwione w sobie podejrzliwie oczy hajduków.

Podziemne lochy, przepełnione tu były chłopstwem, mieszczanami i uboższą szlachcią, a wszyscy siedzieli niewinnie, bez zasłużonej kary, i chyba to można im było poczytać za winę, że pochodzili z posiadłości zajmowanych przez Ligęzę, Korniaków, Opalińskiego, albo też innych nieprzyjających sąsiadów Dyabła. Nie było dnia, aby nie spełniano tutaj po kilka, lub kilkanaście egzekucyj. Jednych okutych, wywlekano z lochów i pachol-kowie odliczali im powrozami pewną ilość plag, na drugich, nowo przywiedzionych, dokonywano ob-cięcia uszu, nosa, rąk albo nóg, innych znów, oćwi-czonych, zakopywano żywcem do ziemi — aż po szyję.

Godlewski patrzył na to wszystko i truchlał ze strachu i grozy. Dreszcze go przechodziły i serce w piersiach się ścisnęło, kiedy uszu jego dochodziły przeraźliwe krzyki i jęki męczonych, kiedy okrwawieni skazańcy, wili się w śmiertelnym bólu i błagali, aby ich dobito. A gawiedź czeladna, zgraże sabatów, kozaków i tatarów, gromadziły się wówczas wokoło miejsca egzekucyi i wyły z uciechy, że urządzają dla nich takie widowiska.

Razu pewnego, przywiedli hajducy starego, zgarbionego chłopca, którego schwytali w lasach łańcuckich.

Ligas, który zdawał takie sprawy przed Sta-



dnickim, poszedł zaraz z relacją i zapytaniem, co z jeńcem począć.

Nie długo tam bawił.

Godlewski zagadnął go wracającego, co właściwie chłop zawinił, że przez las łańcucki przechodził.

Wąsaty drab, począł śmiać się na całe gardło.

— Winien, czy nie winien — ozwał się w odpowiedzi — ale w lesie był i jest poddanym leżajskiego starosty!

Burmistrz zdziwiony przystanął.

— Czyż samo to wystarcza, aby go krzywdzić? — pytał wielce podniecony.

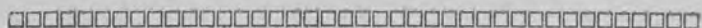
— Ano rozkaz; zawinił, więc odpokutować musi.

— Cóż go więc za to czeka?

— Obaczycie, dziś jeszcze.

Godlewski nie mógł się wydziwić, jak tutaj pojmowała służba winę ludzką. Samo bowiem poddaństwo pod innego pana, a nie pod Dyabła, było w jej oczach godnem surowego pokarania.

W dniu tym o zmierzchu, wielki ogień zapłonął na dziedzińcu przed zamkiem, który otoczyła gawieź wielkiem kołem. Tłoczyli się wszyscy, aby być bliżej ogniska; niektórzy powspinali się nawet na drzewa, rosnące obok murów, aby tylko nie utracić widoku, na który gotowano się od kilku godzin.



Godlewski, który wiedział już, co znaczą takie gromadne zebrania, począł drzeć cały. Los chłopą, poddanego starosty Opalińskiego, zainteresował go bardzo, więc stanął za innymi i patrzył w osłupieniu na gotujące się widowisko.

W czerwonym kaftanie i kozackiej czapie, stał przy ogniu Ligas i rozkazy wydawał.

Kilku drabów, przywiązało do słupa jakiegoś obnażonego biedaka. Jeden z nich, ostrem narzędziem krajał mu skórę od karku wzdłuż aż do stóp, a drugi, żelaznemi kleszczami darł z niego pasy. Skazaniec początkowo płakał i błagał, aby go raczej ubito, później uderzył w straszliwy jęk. Za każdym mocniejszym wybuchem łkania i wrzasków, śmiała się gawieź coraz głośniejsze, kpiąc sobie z bólów nieszczęśliwego.

Oblano go słoną wodą...

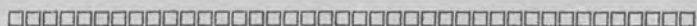
Nie jęk, nie krzyk, ale ryk okropny rozdarł powietrze...

Gawieź zafalowała; wyciem, śmiechem i szyderstwem odpowiedziała na to.

Godlewski o mało nie zemdlał. Serce poczęło się w nim ścisnąć, drżał na całym ciele.

Odsunięto jedną ofiarę, zastąpiła ją druga, potem trzecia.

Nareszcie stanął siwy, zgarbiony, za dnia przychwycony w lesie chłop. Oczy miał błędne, jak u obłąkanego. Trząsł się cały, zębami dygotał, ledwie na nogach się trzymał.



Zdarli zeń okrycie. Jak szkielet — powleczony skórą — suchy był ogromnie; siwe włosy na kark mu opadały.

Obalono go na ziemię i między dwie deski sznurami obwiązano. Wolno przysunęli go oprawcy końcami bosych nóg do ogniska.

Stary począł jęczeć i nieludzkie jakieś głosy ze siebie wydobywać; wreszcie omdlał! Wsadzono nogi jego w żar, aż wyżej kostek. Zaskwierczało... Śwąd spalenizny, począł pełzać z dymem po całym dziedzińcu. Jeden z pachółków, chlusnął kubłem wody na głowę starca. Ocknął się i jęk stłumiony wydał ze siebie.

Odsunęli ofiarę od ognia. Ligas dał nowy rozkaz. Oprawcy porwali piłę i poczęli obcinać opalone nogi.

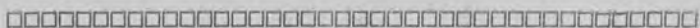
Rozległ się zgrzyt i wraz z trocinami rznionych desek, poczęła spływać krew...

Godlewski nie mógł już wytrzymać. Czuł, że się dławi, wybuchy łkania poczęły wstrząsać jego piersiami, a łzy do oczu gwałtem się cisnęły.

Przepchał się przez tłum i począł uchodzić od tego widoku.

Naraz podniósł wzrok na zamek i drgnął.

W szeroko otwartem oknie, szatańsko uśmiechnięty, z oczyma utkwionemi w kierunku płonącego ogniska — stał Dyabeł. Na twarzy jego, przebijało się jakieś wielkie zadowolenie; białe



zęby — jak kły u dzikiego zwierza — łyskały z pod wąsów i grubych wyrzuconych warg.

Godlewski, jakby upiora obaczył. Spuścił głowę i umknął daleko między drzewa, gdzie usunął się na ziemię z ciężkiem westchnieniem.

— Boże! Boże! Toć to piekło na ziemi! — począł wołać zduszonym głosem. — I nie upomni się o te krzywdy, nikt, nie szuka nikt pomsty za tych biedaków, których mękami upaja się bezkarnie ten ziemski Dyabeł!

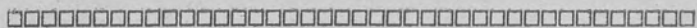
Długo jeszcze dochodził z dala gwar i śmiechy. Przycichły tylko nieco straszliwe jęki męczonych skazańców, którzy pograżyli się w śmiertelnem omdleniu.

Kończyła się zabawa i widowisko tłuszczy zamkowej, którą Dyabeł zaprawiał krwawymi widowkami do mordów i łupiestwa.

Godlewski długo siedział i nie mógł się uspokoić. W duszy jego, nurtowała rozpacz wielka. Teraz dopiero osądził należycie, jak trudno mu będzie wybrnąć z obecnego położenia. Do Leżajska wracać nie mógł, bo znów dostałby się tam do tej samej celi podziemnej, a w Łańcucie, czuł, że przy takich krwawych orgiach, długo nie wytrzyma.

Począł przemyśliwać nad ucieczką do Rzeszowa.

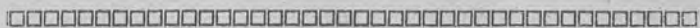
Mroki jego smutnej duszy, rozświetlał tylko ten jedyny promyk nadziei, że może nareszcie protestacye o jego nieprawne uwięzienie będą zała-



dobra synom, córce zaś spłat 15.000 zł., a żonie dożywocie. Sam zaś na czele zaciężnego wojska, ruszył pod Lublin.

Godlewski pozostał z innymi dworzanami na zamku Łańcuckim, gdzie bawiła żona Stadnickiego z dyablętami.





o odwecie Opalińskiego, jakiego dokonywał na majątkach Dyabła, mimo to popłoch w całym Leżajsku i okolicy wzrastał z dniem każdym coraz większy.

W złość, mściwość i potęgę Dyabła, tak głęboko wierzono, że ludność przypisywała mu już moc niemal piekielną i na samo wspomnienie o nim, żegnała się znakiem krzyża.

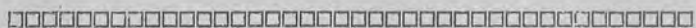
Głuchowski na zlecenia starosty nadsyłane przez gońców, zbierał ludzi coraz więcej. Kołaczkowski uwijał się po Leżajsku i okolicy, i przy pomocy pana Tulejki, wydawał odpowiednie zarządzenia, na wypadek napadu Dyabła. Miasto obstawiono dokoła strażami, które zmieniały się dniem i nocą.

Pewnego jesienno wieczoru, ruch niemały zrobił się na zamku. Mieszkańcy miasta zaalarmowani tem, tłumnie poczęli napływać przed bramę i o wieści pytać.

— Opaliński pobit! — podawano sobie z ust do ust.

Zamięszanie między ludnością zrobiło się ogromne. Jedni radzili zabierać dobytek i w lasy uciekać, inni znów, spokojniejsi, poczęli odwozić od tego zamiaru, twierdząc, że nie godzi się miasta i zamku porzucać w takiej chwili.

Pan Tulejka, który obecnie ciągle prawie na zamku przesiadywał i zasięgał tam najpewniejszych wiadomości, rozsiadł się nazajutrz około po-



łudnia w oberży u Dubiela, w otoczeniu licznych mieszczan.

— Koniec tej całej wojny może być dla nas smutny — mówił przekonywująco do zebranych — jeżeli szczęście będzie nadal po stronie Stadnickiego. Dyabeł ma wojska wiele. Sabatów, tatarów i wszelakiej zbieganiny u niego cały zamek, którym nie płaci żołdu dlatego, aby raźniej sami łupili po wsiach i miasteczkach żołd dla siebie. Staroście naszemu, chociaż wspomagają go siłą zbrojną i Ramułt i Ligęza, trudno będzie pokonać taką głodną zgraję, która jeno na łupy czyha. Pod Łańcutem pobił go Dyabeł, a pod Łukowem zniósł jego oddziały doszczętnie, że ledwie z życiem uszedł. A teraz, zanim zbierze Opaliński nowe siły, to Stadnicki cały Leżajsk i okolicę gotów z ziemią zrównać, jeżeli nie staniemy wszyscy zgodnie, razem z chłopami ze wsi przeciw niemu.

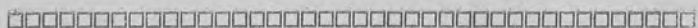
Pospuszczali głowy mieszczanie, chmura smutku osiadła na ich twarzach.

— Ja myślę, że lepiej nie czekać tutaj dłużej, tylko zabrać dobytek i uchodzić z miasta — ozwał się nieśmiało Zawada.

— Ja także nie widzę innej rady — dorzucił Dzijdziński.

Pan Tulejka poczerwieniał z oburzenia i podniósł się z ławy.

— Jakto, to waszmościowie uciekać chcecie w chwili, kiedy winniśmy wszyscy jak jeden mąż



Zawada wylazł z kąta i począł się usprawiedliwiać.

— Jabym ta ostać się z wami rad, ale babsko rady sobie bezemnie nie da.

Pan Tulejka obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

— To waść możesz sobie iść, baby pilnować. Nas tu zostanie jeszcze dość. Lepiej nas mniej bez waści, jak więcej tchórzem podszytych!

— Ależ jak się nie lękam — dowodził żałośnie sukiennik.

— Wierzymy bardzo, tylko radzimy waści baby pilnować.

— Jak honor i sumienie Kocham!

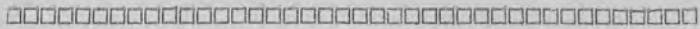
— Wierzymy przecie, wierzymy!

— Ja — przerwał Czerski — nie widzę znowu takiej koniecznej potrzeby, aby leżć samemu Dyału w gardło. Sprostac' mu trudno, bo jak powiadają — z piekłem ma podobno konszachty. Możeby więc i lepiej było, jak to mówił pan Zawada, abyśmy opuścili miasto.

— A co, nie prawda? — poderwał skwapliwie sukiennik.

Pan Tulejka szarpnął się i huknął z całej mocy.

— To waszmość sobie idź razem z panem Zawadą, pomożesz mu dzieci bawić. Bez was się obejdziemy!



Poczem zwrócił się do innych mieszczan i ozwał się głosem podniesionym.

— Kto jeszcze z waszmościów idzie za przykładem pana Czerskiego i Zawady?

— Nikt, nikt! — rozległy się liczne głosy.

— A zé mną na zamku, kto się tu ostanie, aby Dyabła przywitać?

— Wszyscy ostaniem!

— Dziękuję waszmościom, dziękuję — wołał rozradowany pan Grzegorz. — A teraz, kto rad uczciwie miasta bronić i tchórzem podszyty nie jest, proszę na zamek, gdzie o obronie pomówimy.

Oberża Dubiela wnet się opróżniła.

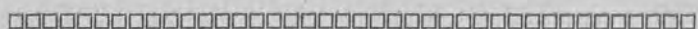
Przy szklanicach pozostali tylko Czerski i Zawada, rozprawiając żywo między sobą.

Spadły śniegi.

Obfita pościel śniegowa zaległa ziemię i drzewa. Owiane gałęzie wygięte z pałąk, sterczały powyciągane w rozmaitych kierunkach, jak kosmate łapy. Wiatr kolebał niemi, wzdychał i szemrał tajemnie, strzepując białe pyły, które jak kryształ, sypały się z szelestem na ziemię.

Drogi zasypane były zupełnie.

Śniegi te spowodowały chwilową przerwę w zbrojnych wystąpieniach między Dyablem, a starostą Opalińskim. Wojska łańcuckie, mając uciążliwą drogę, i nie mogąc swobodnie przeprowadzić się z miejsca na miejsce, musiały poniechać

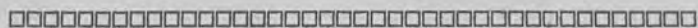


na razie dalszych najazdów, a poprzestawały tylko na pobliskich wycieczkach.

Rozsypane i rozbite oddziały pod Łukowem, począł Opaliński powoli ściągać. Rozesłał swoich ludzi celem werbowania nowych sił, a sam, przez zawiane drogi, na czele gromadki zbiedzonych żołnierzy, ledwie przedostał się do Leżajska.

Witano go tu nader serdecznie. Mieszkańcom, przestraszonym wieściami o Dyable, przybycie starosty dodało wiele otuchy. Zdało im się, że bezpieczniejszymi czuć się mogą, skoro zjechał do nich sam właściciel zamku.

Pan Tulejka znalazł wielką łaskę u starosty, za należyte przysposobienie mieszkańców do obrony. Zdał mu więc Opaliński dalsze robienie zaciągów, sam zaś zajął się ściągnięciem ze swoich folwarków pieniędzy, zboża i paszy. Wiedział bowiem, że wojna rozpoczęta z Dyablem potrwa długo, że będzie teraz walka na życie i śmierć, i że jeden z przeciwników doszczętnie pobity być musi. Bo skoro nie pomogły już ani zabiegi znacznych mężów o zgodę, ani też vadia królewskie, a Dyabeł rwał się do wojny z dniem każdym coraz bardziej, osądził Opaliński, że musi teraz wyteńczyć całą moc swoją, aby być przygotowanym na długą i zaciętą wojnę. Dlatego też zamek leżajski roił się coraz bardziej od najemnych żołdaków, a miasto przybrało wygląd obronny, jakby lada chwila spodziewano się najazdu nieprzyjaciela.



Około Bożego Narodzenia wrócili gońcy, którzy wozili listy do króla. Przywieźli ze sobą wieści sporo. Ale nad wszystkie inne zajęła Opałińskiego wiadomość, że niedaleko Trzciany, koło odludnej karczmy, napotkali wielki transport wozów Dyabła, naładowanych różnymi towarami, które z powodu śniegów zatrzymały się w drodze, i czekały stosownej pory na odjazd do Łańcuta.

Wiadomość ta podnieciła starostę nie mało. Jakkolwiek wojny nie pragnął i na łupy nie czyhał, nie chciał jednak puścić płazem takiej okazji do odwetu, jaka obecnie się nadarzała. To też przywołał natychmiast do siebie panów Tulejkę, Głuchowskiego, oraz kilku ze starszyzny swojego wojska.

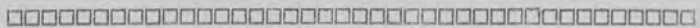
Starosta był człkiem lat średnich, miernej tuszy, o jasnych oczach, patrzących bystro z pod gęstych brwi. Miał brodę nie dużą, czarną, ściętą w klin i wąs spory, starannie utrzymany.*)

W pięknym, granatowym żupanie, z gęstą zarzuconą w tył czupryną, wyglądał butnie i okazale.

Gości powitał bardzo serdecznie i przedstawił im całą sprawę.

Naradę prowadzono zbyt długo, gdyż oprócz pana Tulejki, wszyscy byli przeciwni, aby podejmować wyprawę na transporty Stadnickiego. Dowodzili bowiem, że przeprawa za daleka i niebezpieczna z powodu śniegów, a wojska łańcuckie gęsto

*) Rysopis wedle starego portretu, znajdującego się w klasztorze O. O. Bernardynów w Leżajsku.



są w okolicy rozsypane, wobec czego o zasadzkę nie trudno.

— Ja proszę waszej miłości tylko o kilkanaście koni pociągowych, i o pół setki ludzi, a sam z nimi pojedę — domagał się uporczywie pan Tulejka.

Starosta miał ochotę dać przyzwolenie, ale wahał się jeszcze nieco.

— Z połową setki ludzi, nie dasz sobie waszmość rady, bo samej służby przy furgonach jest podobno tyle.

— Ja nie proszę o więcej. Nie zdzierzę im, straci wasza miłość nie wiele, a jeśli im podołam, cały transport do Leżajska przywiodę.

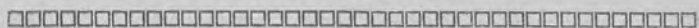
Inni poczęli powątpiewać w jego słowa i głowami kiwać.

Głuchowski stanowczo oponował, a za nim i starszyzna wojskowa poszła, ale pan Grzegorz nie dawał się zbić z tropu. Pół setki ludzi i kilkanaście koni pociągowych domagał się, a nadto więcej niczego.

Po wielkich targach i układach, dał wreszcie starosta przyzwolenie.

W tym samym dniu o zmierzchu, ruszyła wyprawa z panem Grzegorzem, który powybierał sobie do kompanii najśmielszych ochotników.

Po upływie pięciu dni, począł się Opaliński niepokoić. Ślad po wysłańcach zaginął, nie było o nich żadnej wiadomości.



Nie chodziło już staroście tyle o żołnierzy, ile o samego pana Tulejkę, który tak na zamku jak i w mieście, okazał się wielce potrzebnym, a nie łatwo było go w tym czasie kim innym zastąpić. Dlatego też w ślady wyprawy, wysłał na zwiady gońca. Ten jednak zaraz następnego dnia powrócił z wieścią, że cały transport wozów zdąży w stronę Leżajska.

Wnet zebrała się gromada przyjaciół pana Grzegorza, którzy ruszyli na spotkanie furgonów.

Późną nocą nadjechał pan Tulejka z rozradowanymi kompanami do miasta. Za nim ciągnęły liczne wozy, obładowane kufami małmazyi, miodu, worami suszonych ryb, mięsiv i owoców.

Cały tabor zatrzymał się na rynku, pan Tulejka zaś mimo nocy udał się na zamek, gdzie oczekiwał go niecierpliwie starosta.

W parę tygodni później, zjawil się przed Anką Karaś z wielce tajemniczą miną.

— Co mi powiecie stary? — zagadnęła go dziewczyna, patrząc mu niespokojnie w oczy.

On począł się odciągać, uśmiechać i oczy mrużyć.

— Mam dla waćpanny takie wieści, które pewnie rozradują nie mało jej serce.

— Od niego? — poderwała szybko dziewczyna.

Stary począł kiwać głową.



— Mówcie mi prędko, na miły Bóg, gdzie on, co się z nim dzieje... kto wam mówił o nim?...

— A któżby mówił... sam...

— Jaki sam?

— Ano sam. Przyszedł do Leżajska, bo mu za panienką tęskno było.

Anka uszom własnym nie wierzyła. Radość i zdziwienie wielkie odbiło się na jej obliczu.

— Gdzież on jest? — nalegała drżąca.

— Uciekł od Dyabła, bo wytrzymać tam już nie mógł. W grodzie uzyskał już pan burmistrz zaświadczenia o swej niewinności, więc przyszedł pana starostę o opiekę prosić.

— Ale gdzież on jest, u kogo? — niecierpliwiła się dziewczyna.

— U mnie, w izbie strażniczej, czeka na posłuchanie u pana starosty.

Anka rozplakała się z radości i w uniesieniu poczęła Karasia ścisnąć.

— Mój złoty, kochany dziadziusiu! — wołała uszczęśliwiona.

Opaliński powiadomiony o przybyciu Godlewskiego na zamek, zdziwił się nie mało. Wiedział dokładnie o powodach jego uwięzienia, a następnie o ucieczce z leżajskich lochów, przekonał się również z wyroku ogłoszonego w grodzie o niesłusznym postępku Grabińskiego, którego Dyabeł sprocesował i dekret banicyi na nim uzyskał. Zaciekawiony był jednak wielce, jak się to stało, że Stadnicki wy-

□□□

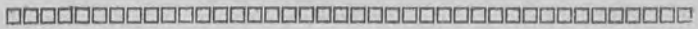
puścił dobrowolnie burmistrza ze swojej opieki. Dał więc przyzwolenie aby go przyprawadzano.

Godlewski wszedł, złożył niski ukłon i przy drzwiach pokornie stanął, czekając na zezwolenie do przemówienia.

Starosta długą chwilę wpatrywał się w milczeniu w twarz przybysza.

— Z jakimi wieściami przybywasz waszmość tutaj z Łańcuta? — zagadnął wreszcie.

— Przychodzę do waszej miłości po sprawiedliwość i łaskę. Niewiem, w czem zawiniłem panu Grabińskiemu, że uwięzić mię kazał i długie miesiące w lochu podziemnym trzymał. Szlachcicem jestem, o czem sam gród zaświadczył, więc mi się krzywda stała, że bezprawnie byłem więziony. Umknąłem stąd, boć i pies na łańcuchu targa się i pragnie wolności, a cóż dopiero człowiek ma począć, którego trzymają w lochu bez powodu. Hajdycy waszej miłości tropili za mną jak za lisem, z drugiej strony zaś musiałem chronić się przed ludźmi pana Stadnickiego. Nie miałem ani chwili bezpiecznej, aż w końcu w drodze do Rzeszowa, zostałem schwytyany i odesłany do zamku w Łańcutcie. Panu Stadnickiemu musiałem podać powody, dlaczego z Leżajska umknąłem, a on, w obronie mojej, wniósł pozwy przeciw panu Grabińskiemu. Nie moja wina w tem; szukać przytułku gdzieś musiałem, aby przy drodze gdzie nie zginąć. Ale choćby mnie wasza miłość na pal wbić, albo pasy drzeć ze mnie



kazała, to już wolę śmierć najgorszą tutaj, jak wolność w Łańcucie. Tam — niewinni najokropniejsze męki znoszą, publiczne widowiska ze śmierci i tortur ludzkich robią, a nie sposób mi było schronić się przed widowiskiem ani też jękami tych nieszczęśliwych, bo między dworzanami zawsze być musiałem. Dlatego umknąłem z Łańcuta, przychodzę i błagam waszej miłości o sprawiedliwość i opiekę.

Podczas tego przemówienia patrzył uważnie starosta na Godlewskiego, a kiedy ten skończył, powstał z ławy zasłanej kobiercem i począł w milczeniu długą chwilę przechadzać się po komnacie. Jakby szukał odpowiedzi na jego słowa i wyrok dla niego gotował. Nakoniec zwrócił się do hajduka stojącego przy drzwiach i kazał mu przywołać Głuchowskiego.

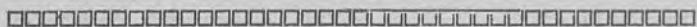
Ten zjawił się niebawem.

— Obwieścić mi zaraz — począł starosta — tak na całym zamku, jak i w mieście, że pan burmistrz Godlewski, którego sprawa rozpatrywaną była w grodzie, przywrócony zostaje do wszystkich dawnych praw, jakie miał przed uwięzieniem.

Głuchowski skłonił się i wyszedł.

Godlewski w niskich ukłonach począł dziękować staroście za łaskę, ofiarując mu na odwdziękę swoje służby.





W parę tygodni później, uciekł Godlewski z Łańcuta.

Dyabeł dowiedziawszy się o tem, zakipiał cały gniewem. Kazał natychmiast przywołać Ligasa.

— Pościg za Godlewskim wysłany? — zapytał krótko wchodzącego.

— Tak miłościwy panie — odrzekł zagadnięty, kłaniając się aż do ziemi — wysłańcy właśnie teraz wrócili, ale go nie schwytali.

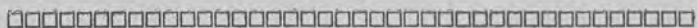
— Zasięgali języka dokąd poszedł?

— Miastowi ludzie widzieli go wczoraj wieczorem. Szedł w stronę szutrowiska.

— Aha, rozumiem! Wypędziłem i sprocesowałem Grabińskiego, więc Godlewski powrócił bezpiecznie do Leżajska! Ale jakim Stadnicki, gardłem zapłaci mi on za pozwy, które za niego wnosiłem do grodu! Tylko uporządczę się z pobliską rezydencją Opalińskiego, zaraz ruszę na Leżajsk, aby odszukać swojego pupila!

W kilka dni później na czele swoich band, napadł Dyabeł na Łakę, gdzie złupił cały pałac, poczem wysłał obelżywy i z pogroźkami list do Opalińskiego bawiącego w Leżajsku, w którym wypowiedział mu formalną wojnę.

Starosta wierząc, że wkrótce już przyjdzie między nim a Dyablem do rozstrzygającego starcia, wysłał listy do króla i przyjaciół z prośbą o pomoc, sam zaś począł ze wszystkich stron ściągać posiłki.



Kiedy Opaliński zniknął za bramą, Zawada odzyskał naraz całe panowanie nad sobą, i począł znowu przewodzić.

— Zostać w mieście pod bokiem rozszalałego Dyabła, nie możemy stanowczo. Pójdzie starosta z wojskiem z miasta, pójdziemy za nim i my!

— Pójdziemy wszyscy! — ozwały się liczne głosy.

— Tylko w pogotowiu być, bo wojska lada dzień miasto opuszczą.

— Będziemy gotowi, będziemy!

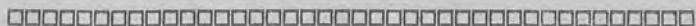
Ruszyli wszyscy w stronę miasta.

Nazajutrz o bardzo wczesnym świcie, kiedy szaro robiło się dopiero na świecie, rozwarły się bramy zamku i oddziały najemnego żołnierstwa wysypały się w wielkiej liczbie. Za nimi ruszyły lądowe wozy z żywnością.

Pomiędzy wojskiem a wozami, siedział w wygodnej kolasie Opaliński. Obok niego na koniu, jechał Godlewski, który miał dodatkowo do wniesionych protestacyi przez starostę poświadczyć w grodzie, — jako naoczny świadek — jak Stadnicki znęca się nad schwytanymi ludźmi, należącymi do starostwa leżajskiego.

Drogę do Przemyśla obrano dalszą, gdyż Opaliński pragnął zboczyć jeszcze do Łąki, aby przekonać się o zniszczeniach dokonanych przez Dyabła.

W Leżajsku na zamku, pozostał tylko Głuchowski z garstką żołnierzy, oddział uzbrojonych



chłopów i hajduków, oraz pan Tulejka, który miał w razie potrzeby całą obroną pokierować.

Cicho przeszły wojska ulicami.

Za miastem, oderwał się Godlewski od kolasy starosty, przystanął na wzgórzu, zlął z konia i chwilę patrzył w stronę miasta.

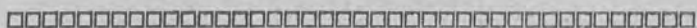
Niebawem zjawiła się zdyszana Anka i pędem przypadła ku niemu. Zwarli się na pożegnanie długim, serdecznym uściskiem, a on, wpatrywał się w nią jak w słońce, chcąc na drogę upoić się jej widokiem.

Ona łkała cicho, a łzy spływały jej po policzkach jak perły.

Chwilę gwarzyli ze sobą, polecając się wzajemnie Bogu, poczem Godlewski raz jeszcze porwał ją w ramiona, przygarnął do piersi i usta stopił z jej ustami. Potem objął jej kolana, ucałował ręce i na konia wskoczył. Podniósł czapkę wysoko i pędem odjechał.

Długo stała Anka na wzgórzu i wzrok wyteżała za jeźdźcem. Dopiero kiedy jej z oczu zniknął zupełnie, zawróciła w stronę miasta, gdzie na rynku — w otoczeniu kilku kobiet — stał Zawada i targał sobie włosy z rozpaczy, że zbudził się za późno i nie powłókł się za wojskiem, jak to poprzedniego dnia uplanował.

Wojska leżajskie szły wyciągniętym łańcuchem, za którymi toczyły się ładowne furgony. Na



czelę pochodu powiewała czerwona chorągiew, z żółtym krzyżem w pośrodku.

Pogoda zapowiadała się prześliczna. Słońce jak olbrzymie gorejące oko płynęło po nieboskłonie, i pęk złotych promieni rozrzuciło szczerze po zielonych polach. Niebo pogodne, bezobłoczne, zda wało się uśmiechać nad głowami żołnierzy.

Tabor posuwał się żywo. Gdzieniegdzie wyrywała się pieśń jakaś, to znów odgłos kotła zawarczał, albo też ozwały się czasem nagle głośne nawoływania dowódców oddziału. Lekki wiatr wionął od wschodu, a przedziwne poszmery z ogłosem kroków żołnierzy, gwarem, śpiewem i turkotem kół, rozlewały się wokół dziwną muzyką.

Drugiego dnia stanęli w Łące.

Cała wieś nosiła na sobie ślady ogromnego spustoszenia. Domy stały bezludne, puste, z powyrywanymi drzwiami i oknami, miejscami widniały tylko kupy gruzów i zgliszcza, a cała droga przez wieś, zawałoną była belkami i rumowiskiem.

Opaliński rozglądał się i lży połykał. Zamek jego był zniszczony, budynki folwarczne wyglądały jak po tatarskim najeździe. Znać tu było wszędzie gospodarną rękę Dyabła.

W Łące zatrzymali się krótko. Stąd ruszyli w dalszą drogę, omijając Łańcut półkolem, aby ich nie zaskoczyły wojska Stadnickiego.

Ale pochód leżajskiego starosty, nie uszedł bacznej uwagi Dyabła w Łańcucie, który powiado-



miony o nim przez swoich zaufanych sabatów, wążających się po okolicy, zebrał natychmiast swoje wojska, ruszył z nimi w pole i zabiegł drogę Opalińskiemu.

Pierwsze strażę jadące na czele taboru — na dwie godziny drogi w bok od Łańcuta — doniosły Opalińskiemu, że napadł je i ścigał oddział harcówników Dyabła.

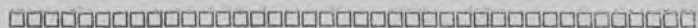
Wiść ta zaniepokoiła starostę, gdyż nie miał on wcale zamiaru poczynać tutaj żadnej bitwy. Powstrzymał więc cały pochód w nadziei, że uda mu się okrążyć wojska przeciwnika. Ale żołnierze wysłani celem szukania bocznych dróg, wrócili wkrótce z nowiną, że o innej przeprawie niema mowy, gdyż z kilku stron nadciągają zastępy łańcuckich sabatów.

Opaliński widząc się osaczonym, zalecił jak największą czujność w całym taborze. Ruszyli polami pod najbliższy las, położony na małym wznieśieniu. Furgony rozstawiono wnet półkolem, za którymi rozbili żołnierze obozowisko.

Ale dzień cały zeszedł cicho i żaden oddział Dyabła nie wychylił się z zasadzki.

Noc przeszła również spokojnie. Ognie nie zapalano, aby nie przynęcać nieprzyjaciela.

Starosta sam dozór nad porządkiem utrzymywał; obchodził furgony, doglądał rozstawionych wart i dawał ustawicznie jakieś zlecenia. Myśl o zbliżającej się bitwie napawała go niepokojem.



Smutek, jak olbrzymi pajak omotał jego serce, od chwili wyjazdu z Leżajska. Widział ją teraz w marzeniach swoich, jak po wirydarzu chodziła zamyślona, smutna, ocierająca piąstkami załzawione oczy. W chaosie skłębionych myśli, miał przed oczyma tę słodką, ukochaną dziewczynę taką, jaką widział ją na wzgórkach za miastem, kiedy przyszła pożegnać go o świcie.

Przeciągły odgłos piszczałki przerwał Godlewskiemu rozmyślania. Był to znak, że nieprzyjaciel się zbliża.

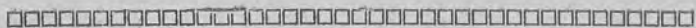
Ruch wszczął się w obozie. Opaliński wysiadł z kołasy i począł wydawać zarządzenia. Wnet okazały się w dali — jak ciemne, rozrzucone punkta — gromadki harcówników, które poczęły podsuwać się wolno w stronę taboru starosty.

Z za wozów wysunął się oddział żołnierzy i pod osłoną drzew, zachodził krajem lasu drogę nacierającym, wreszcie wypadł na pola. Obie strony przypadły ku sobie i starły się jak dwie chmury.

Ozwały się rusznice.

Wnet zaroilo się od nowych gromad, spieszących na pomoc harcównikom, ale równocześnie inne oddziały Opalińskiego wypadły z lasu.

Po chwilowej utarczce poczęli harcównicy cofać się bezładnie, ale jakby z pod ziemi, wyrosły naraz nowe posiłki idące na pomoc rozprószonym. Nawała od strony Dyabła poczęła płynąć rzeką coraz większą.



Sabaci odziani w obciste spodnie i wysokie czapy, zastąpili teraz boki Opalińszczykom; bitwa wszczęła się na dobre.

Starosta patrzył niespokojnie na przebieg starcia, co chwila dawał rozkazy przez gońców, ale szyki jego żołnierzy wnet poczęły się łamać. Sabaci parli ich coraz bardziej ku taborowi.

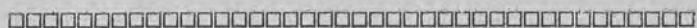
Opaliński dosiadł konia i na czele nowego oddziału ruszył swoim na pomoc; oddział Wrońskiego, do którego należał Godlewski, uderzył z drugiej strony.

Rozgłośnie krzyki rozległy się po polach. Wojska zmieszały się razem; ludzie i konie zbiły się w jedną falującą masę.

Długo ważyły się losy obu wojsk, aż wreszcie zastępy Dyabła poczęły się zwolna cofać. Opalińszczycy podnieceni tem, uderzyli z większą siłą, wsiedli im na karki i niebawem rozpoczął się pościg. Z wyciem uciekały zbite, bezładne masy.

Godlewski na siwym koniu, porwany falą ściągających, ruszył także w pogoń.

Cięci, bici i kluci żołnierze Stadnickiego, poczęli kierować się w stronę lasu, aby tam znaleźć ratunek przed pościgiem, ale Opalińszczycy zagrodzili im drogę. Żnów przystanąli. Huknęły rusznice, warknęły strzały łuków, potem zderzyli się wszyscy razem pierś w pierś, i niebawem pościg rozpoczął się na nowo. Jak ciężkie, ołowiane chmury pędzone



wichrem, mknęły za sobą wojska Dyabła i Opalińskiego.

Długo trwała ta gonitwa. Opalińszczycy zmor-dowani bitwą i pościgiem, poczęli niebawem zwal-niać biegu, wreszcie przystanęli.

Licząc na pewny powrót umykających wojsk Stadnickiego, urządził Wroński zasadzkę. W tym celu zboczyli polami do niewielkiego jaru, gdzie po-zostali już do dnia następnego, śledząc baczenie ru-chy wojsk łańcuckich.

O świcie doniosły straże Wrońskiemu, że Dyabeł jest już w drodze w stronę taboru Opaliń-skiego.

Ruszono natychmiast w jego ślady. Po pe-wnym czasie dały się słyszeć gęste strzały, które obwieściły, że Stadnicki rozpoczął już muzykę z leżajskim starostą.

Niebawem wojska Wrońskiego dotarły do miejsca, skąd z za drzew można było śledzić cały przebieg bitwy.

Rozsypane bijące się wojska, widniały z dala jak wielkie mrowisko. Raz skupiały się, kiedy uderzały ku sobie, to znów z wrzaskiem rozpra-szały się po polach, a wtedy raźniej odzywały się rusznice.

Tabor starosty stał na dawnym miejscu, nie-poruszony, ale po ruchach żołnierzy widać było, że Opalińszczycy są wyczerpani i że Dyabeł poczyna nad nimi brać przewagę. To też Godlew-

ski naglił Wrońskiego, aby uderzył czemrychlej na tyły wojsk Dyabła, i nie dopuszczał do większych strat w ludziach starosty.

Jakoż nowy właśnie atak przypuścił Stadnicki w stronę taboru. Ale wojska jego nie zdołały jeszcze zderzyć się z przeciwnikiem, kiedy nagle z za drzew wypadł na ich tyły Wroński ze swoimi żołnierzami.

Krzyk ogromny podniósł się między szeregami Dyabła. Obwołano natychmiast odwrót i poczęła się zacięta bitwa naraz w kilku miejscach.

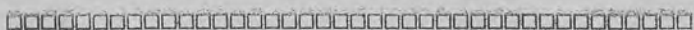
Umilkły strzały, a chrzęst zbroi, jęki i wołania, ozwały się teraz piekielną muzyką. Długo wahały się losy obu wojsk, aż wreszcie pojedyncze grupki Stadnickiego rzuciły się do ucieczki, a za ich przykładem poszły inne.

Na czele uciekających — party lawiną swoich żołnierzy — pędził na spienionym koniu sam Dyabeł. Czapka spadła mu z głowy, długie włosy — jak grzywa — rozwiały mu się na wszystkie strony.

— Stać! Hej bydło... psy... stać! — wołał wściekły, starając się powstrzymać cały nawal umykających.

Ale wołania jego nikt nie słuchał. Konia powstrzymać nie mógł, więc unoszony całą falą, musiał uchodzić z innymi.

Przy taborze pozostał Opaliński z garstką swoich ludzi, reszta, pod wodzą Wrońskiego,



poszła w pościg, bijąc uciekających bez miłosierdzia. Miecze, szable, rusznice i gindzały, znalazły się na ich głowach; zgrzyt żelaza, szczęk broni, chrupotanie łamanych kości, towarzyszyły jękom rannych i umierających, kładących się pokotem na ziemi.

Przez zielone bujne pola, przez zarośla i ugory, pędzili na oślep wśród krzyków i nawaływań.

— Hej tam, Dyabła żywcem brać, Dyabła! — wołał Godlewski, okładając konia dla pospiechu.

— Dyabła chwycić, Dyabła! — odpowiedziały liczne głosy.

Pościg trwał długo.

Było już dobrze z południa, kiedy ukazały się daleko między zielenią drzew — budynki Łańcuta.

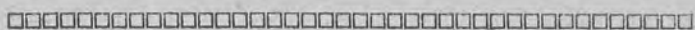
Żołnierze Stadnickiego na ten widok wydali okrzyk:

— Miasto... miasto!...

Upadając ze znużenia, dotarło nagle wojsko Dyabła do celu, i wnet poczęło rozpraszać się między domami.

Ale za nimi, zaroilo się wnet na ulicach od Opalińszczyków, którzy ścigali dalej umykających.

Wroński z Godlewskim, na czele zasobnego oddziału, rzucili się w stronę zamku. Burmistrz znał tu już dobrze każdy kąt, więc wiedział, gdzie się kierować. Bramy były wszędzie otwarte, gdyż nie spodziewano się napadu, a cała służba była



rozprószona i o obronie nikt nie myślał. To też zamęt wszczął się ogromny, kiedy Opalińscy wpadli do wnętrza, wywalili wszystkie drzwi i zaczęli szukać samego Dyabła.

Tego jednak nigdzie nie znaleziono.

W jednym małym alkierzu, wraz z dziewczkami służebnymi, skryła się z dziećmi żona Dyabła — Anna Stadnicka.

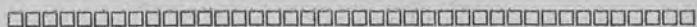
Wroński dał rozkaz ludziom wyprowadzić ją natychmiast z dziećmi przez ogród zamkowy, aby umykała, dokąd jej się podoba.

— Z babami nie prowadzim wojny, tylko z Dyablem! — wołał do żołnierzy, kierując się do lochów zamkowych. — Niech więc ta pani uchodzi stąd póki czas, aby na swojej skórze nie ucierpiała!

Rozbito bramę wiodącą do lochów i setki więźniów wypuszczono na wolność. Zaroiło się od tych nieszczęśliwych, trzymany w zamknięciu i męczonych długie miesiące, którzy zmiarkowawszy co jest powodem ich uwolnienia, sami teraz porwali się na ludzi Stadnickiego.

Oswobodziwszy więźniów, rzucili się Opalińscy ku baszcie, skąd garstka hajduków Dyabła ochłonawszy z przestachu, zaczęła strzelać. Wyważono wnet bramę.

Godlewski wpadł do wnętrza, ale zachwiał się nagle i runął na ziemię. Strzał z rusznicy — w bok go ugodził. Zerwał się w jednej chwili, ale ledwie postąpił naprzód parę kroków, krew rzu-



ciła mu się z ust, w oczach pociemniało, powalił się znowu i omdlał.

Jakiś żołnierz pod schody go usunął.

Fala żołdactwa porwała się teraz naprzód i rozpoczęła się rzeź bez pardonu, w której padł Wroński i ducha na miejscu wyzionął.

Teraz już nikt atakiem nie kierował i nikogo nie słuchano. Żołnierze nie przebacжали nikomu, kto należał do zamkowych ludzi, a nie brał udziału w grabieży. Dlatego też gromadnie przyłączali się ludzie Stadnickiego do Opalińszczyków. Wszystkie komnaty zaroily się od zgrai żadnej rabunku. Zbroje, klejnoty, srebra, złoto, bogate szaty, kobierce i dywany, łupiono i rozdzierano między sobą. Nawet ściany, obdzierano z obić i rozmaitych malowideł, pozostawiając puste mury.*)

Mrok zaczął właśnie padać. Słońce schowało swoją gorejącą głowę na dalekim zachodzie, a niebo poczęło sinieć i pokrywać się powoli rosą gwiazd.

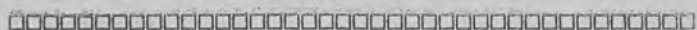
Zgraja łupieżców podniecona krwią, mordem i łupem, dorwawszy się do piwnic, rozpoczęła pijatykę na umór.

W kilku miejscach ukazały się naraz czerwone grzywy płomieni, które objęły cały dach zamku.

— Gore... gore! — ozwały się setki głosów.

Krzyk, strzały i jęki, napelniały przestworza okropną muzyką.

*) Wł. Łoziński — Prawem i lewem.

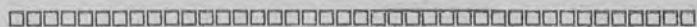


Tymczasem w mieście — aż wrzało. Zrazu mieszkańcy poczęli się chronić i zamykać w domach, skoro ale spostrzegli, że tutaj jeszcze mniej bezpieczeństwa, gdyż pojedyncze budynki poczęły płonąć, porwali się gromadnie do ucieczki.

Za nimi jednak rzucili się łupieżcy. Jak stado owiec spędzili wszystkich razem, i poczęli bić i tratować, nie pardonując nikomu. Co młodsze i urodziwsze kobiety, porywali żołdacy i ciągnęli ze sobą do wspólnej hulanki i rozpusty.

Okoliczni chłopci zbiegli się tłumnie, i widząc pogrom swojego tyrana, rzucili się zwycięzcom do pomocy, niszcząc i rabując wszystko, co tylko padło pod rękę.

Nad miastem rozlała się ogromna, krwawa łuna. Gorzał zamek i domy w mieście, gorzały olbrzymie składy i sklepy Dyabła, w płomieniach stały nawet zagrabione rzeczy, które poznosiła tłuszczka i poskładała stosami za zamkiem, aby później zabrać je ze sobą. Krwawe, strzępiaste języki pełzały po dachach i ścianach, przerzucały się z miejsca na miejsce, pryskały iskrami, burzyły się czarnym, gęstym dymem, to znów zlewały się razem i krwawą falą zatapiały wszystko, co tylko napotkały. A w dymach i blaskach, wśród milionów iskieł wyrzucanych ku niebu, unosiły się stada gołębi, sokołów, rarogów i rozmaitego rodzaju ptactwa, które wydostawszy się z płonącej ptaszarni, kołowały wysoko, ale porywane co chwila



tumanami dymów i iskier, mdlały i padały w morze płomieni.

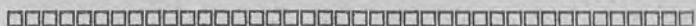
Po ulicach biegali ludzie jak obłąkani. Szukano się wzajemnie, ścigano, bito, kluto i rąbano, a pożar szedł z tryumfem, żarł i niszczył wszystko, co tylko na drodze swojej napotkał.

Całe piekło rozgorzało w Łańcucie, chociaż Dyabła w nim nie było, gdyż zniknął gdzieś bez śladu.

Naraz groźne jakieś pomruki, jakby zbliżającej się burzy, ozwały się od strony zabudowań zamkowych. Odgłosy te wzmagaly się, rosły, wreszcie zmieniły się w ujadanie, wrzask i pisk ogromny. Ogień przerzucił się właśnie na budynek, do którego łupieżcy spędzili teraz wszystkie owce, bydło, psy i ptaki z ptaszarni. Owce beczały przeraźliwym głosem, psy wyły okropnie, a ptaki, piszczały i biły skrzydłami, dusząc się w czarnym dymie i straszliwej fali ognia, ogarniającego szybko cały budynek.

Jakiś drab, rzucił się z siekierą wyrebywać drzwi. Przez wyrobiony otwór poczęły pchać się i wyskakiwać opalone psy, ale jakby odurzone dymem i grozą ognia, przysiadaly opodal i podniósłszy pyski do góry wyły straszliwie.

Poczęto je bić i rozpędzać kijami, ale nie wiele to pomagało, bo rozpędzane siadały na innym miejscu i wycie podnosiło się na nowo.



Ktoś rzucił myśl, aby urządzić teraz na nie obławę. Wnet też rozpoczęto strzelaninę.

Kilkunastu ochotniejszych drabów, na znak radosnego dnia pokonania mocy Dyabła, wdarło się na wieżę. Zagrzmiały strzały armatnie. Tłuszcza wydała okrzyk radosny.

Z pośród pijanej gromady grupującej się koło piwnic, podniósł się naraz wysoki, barczysty drab, z wielkimi, rudymi wąsami.

— Na pański staw teraz chodźmy, na staw! — wołał ochrypłym głosem, zachęcając innych, aby podążyli za nim.

Był to Ligas, zaufany hajduk Dyabła, który na zamku sprawował czynności stróża i kata więźniów, a teraz ze zgrają hajduków i żołdaków Stadnickiego przyłączył się do łupieżców, i prowadził dzieło zniszczenia na zamku swego pana.

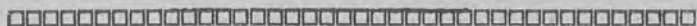
— Chodźmy na staw! — wołał donośnym głosem i całą gromadę pijanych chłopów i żołdaków powłókł za sobą.

Obeszli płonące budynki i stanęli nad brzegiem stawu.

Teraz komendę objął Ligas.

Na jego rozkaz poczęto znosić drzewo i słomę, walono słupy i parkany, rozebrano cały świerzeń, którego pożar jeszcze nie zniszczył i nad brzegiem stawu porozkładano wysokie sterty, które wnet wybuchły żywym płomieniem.

Gładka szyba wody zaświeciła jak lustro.



Motłoch dokonawszy zniszczenia na płonącym zamku, i zoczywszy ogień nad stawem, począł ściągać się tutaj coraz liczniej.

Porwano za siekiery i na zlecenie Ligasa — poczęto wyrębywać tamę.

Wnet z szumem poczęła spływać woda ze stawu szerokiem korytem. Porobiono również kilka bocznych przekopów, aby odpływ bardziej jeszcze przyspieszyć.

Już było blisko świtania, kiedy na dnie stawu ukazał się czarny muł. Woda przestała płynąć tamą i przekopami.

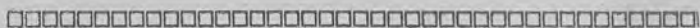
Ligas rzucił się teraz pierwszy w to gęste błoto, za nim poszli inni. Z trudnością ledwie dobrnęli do środka. Tutaj poczęli muł odgartywać i kopać. Robota szła ciężko, gdyż rzadkie błoto spływało szybko w dawne miejsce.

Ligas przynaglał robotników i zapewniał, że rychło osiągną celu.

Zadudniły wreszcie głucho drągi i łopaty. Wszyscy rzucili się gorączkowo do roboty i wnet wydobyli ciężką, ładowną skrzynię oblaną smołą, a za nią drugą, trzecią i dalsze.

Okrzyki radości rwały się z piersi pomocników Ligasa, a z brzegu wyciem im odpowiadano i większe słupy ognia wybuchały w górę.

Cały skarbiec Dyabła, schowany chytrze na dnie stawu, znalazł się w rękach łupieżców.



Kiedy wydostali skrzynie na brzeg, poczęli rozbijać je toporami.

Ligas kierował całą robotą. Ale przy podziale całego skarbu, przyszło do krwawej bitki.

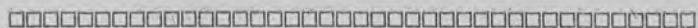
Wielkopański hajduk zagarnąć chciał większą połowę, dowodząc, że należy mu się za zdradzenie kryjówki; ale roz hulana dzicz, zgodzić się na to nie chciała. Poczęto więc wyrywać sobie wzajemnie rozmaite drogocenne przedmioty, bito się, kłuto, rąbano, i wśród wrzasków i przekleństw, porwali się za bary i spychali wzajemnie do stawu, gdzie w mule tarzali się i bili na śmierć.

Donośny głos dzwonu rozległ się naraz z wieży protestanckiego kościoła.

Łupieczy przy stawie przystanęli naraz. Dzwon podział na nich chwilowo hipnotyzująco. Ale wnet porwali się znowu do bójki, wydzierając sobie kosztowniejsze przedmioty.

Tymczasem z kościoła wyruszyła dziwna procesya. Kilkunastu pijanych drabów przyodzia-nych w księżę szaty, postępowało chwiejnym krokiem, trzymając się pod ręce. Przed nimi niesiono rozwiane chorągwie i krzyże, palono kadzidła, a cała gromada darła się i śpiewała rozmaite sprośne pieśni, uderzając do taktu w dzwonki i kołatki.

A dzwony na wieży jęczały żałościwie, łkały i zawodziły, jakby wydzwaniały ostatnie pozgonne całemu miastu i mieszkańcom.



że zamiera już na zawsze, że śmierć owłada jego członki, a nieprzejrzany straszny mrok opanowuje duszę i umysł.

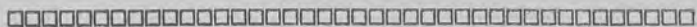
Kiedy o świcie pijana tłuszcza poczęła bić w dzwony na wieży protestanckiego kościoła, był długą chwilę pod wrażeniem, że niosą go już na marach, a dzwony żegnają go po raz ostatni.

Gorączka zmieniała w mózgu jego coraz to nowsze obrazy wspomnień.

Oto raz, widzi Ankę splakaną, smutną, taką, jak żegnała go na wzgórku za Leżajskim, to znów zdaje mu się, że jest w lochu zamkowym... Sojka gra na piszczałce gdzieś na korytarzu, i wyciąga te same, oklepane arye, a on, siedzi w kącie nory na barłogu i zmiłowania bożego oczekuje... A te chwile w więzieniu takie okropnie długie, takie śmiertelnie nudne, tęsknota za wolnością i dziewczyną żre mu serce, zwątpieniem i straszliwą goryczą napawa...

— Boże, Boże!... Albo zabij, albo wolnością obdarz! — rwie mu się skarga ze zbolałych piersi.

Naraz, jasno mu się robi w duszy, która ożywia się szczęściem niewysłowionem... Anulka, ta ukochana jego dziewczyna, wchodzi do niego i wnosi mu ze sobą pociechę i nadzieję wolności... I czuje na wargach swoich jej słodkie, rozchylone usta, czoło jego muskają jej złote rozsypane włosy... Jakaś słodycz rozlewna splywa mu w serce, a rozkosz niewymowna owłada członki...



przyłgnał sercem do niej, że żadna siła nie zdołałaby go oderwać.

— Anulka... — wyszeptał cichym, stłumionym głosem.

Ale umilknął zaraz. Osłabiony wpływem krwi, i długą drogą z Łańcuta na zwykłym chłopskim wozie, popadał często w omdlenie.

Był teraz w domu swego ojca w Leżajsku, pod opieką Anki, która kilka razy na dzień zachodziła tutaj, aby mieć na niego baczenie.

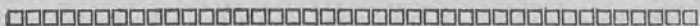
Stary Głuchowski nie robił już córce żadnych trudności. Pogodził się nareszcie z jej wolą, gdyż przekonał się o swoim bezpodstawnym uprzedzeniu do chorego. Zresztą, nie było Grabińskiego, który podburzał zawsze rezydenta na burmistrza.

Mijały dni i tygodnie.

Otoczony troskliwą opieką, począł Godlewski przychodzić do siebie. Anka, troskała się o niego, odkąd zaś począł wstawać, nie posiadała się z uciechy, a oczy jej szklily się łzami serdecznego rozradowania.

Na świecie trwała cudna pogoda. Słońce lało na ziemię potoki ożywczego światła, a pola stały całe w zieleni i kwiecie.

W dni takie, podpierany przez Ankę, wychodził Godlewski w ogrody, gdzie spędzał długie godziny. Gwarzyli ze sobą oboje serdecznie, roili plany na przyszłość i układali, że skoro tylko on do



zdrowia przyjdzie, zakończy się ich smutna dola i połączą się już na zawsze.

Pan Tulejka, który od czasu ostatnich wypadków stał się przyjacielem chorego, zachodził teraz bardzo często do niego w odwiedziny i przynosił ze sobą rozmaite wieści o Dyable, który gotował Opalińskiemu srogi odwet.

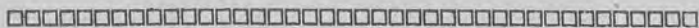
A nowiny te nie pozwalały wróżyć, żeby zawitał rychły pokój, między starostą zygwulskim, a leżajskim.

Dyabeł — po spaleniu mu Łańcuta — zyskawszy pomoc u brata Marcina, kasztelana sanockiego, zamieszkał chwilowo w zamku w Rybotyczach, gdzie rychło porobił nowe zaciągi wojska z węgierskich sabatów, a wzmógłszy się na siłach, powrócił do Łańcuta.

Zaraz wytoczył pozwy Opalińskiemu o spalenie i ograbienie miasta, a zarazem począł się mścić na swoich własnych poddanych najrozmaitszemi torturami, podejrzewając wszystkich, że dawali pomoc leżajskiemu staroście.

Ogromny popłoch zapanował między ludem. Kto mógł uciekał i krył się po lasach, aby uniknąć tortur, jakimi męczono na łańcuckim zamku.

A w pomysłach swoich nad nowymi sposobami męczarni, Stadnicki przedziwnie celował. Jednym skazanym kazał obcinać nogi, drugim ręce, z innych znów darto pasy, wydłubywano



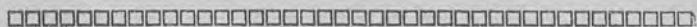
oczy, wrywano języki, albo też żywcem grzebano w ziemi.

Rogata dusza Dyabła podniosła równocześnie bunt przeciw wszystkim sąsiadom, a najbardziej przeciw Opalińskiemu. Zdziczałym swoim wojskom, pozostawił swobodę hulania po wsiach, obdzierania i łupienia ludu, oraz puszczania z dymem wszystkiego, czego ze sobą zabrać nie mogą. Krwawą łuną zabarwiał się horyzont z nadejściem nocy, dokoła Łańcuta i Leżajska. Jak szkielety, stały wyludnione i obdarte domy i stodoły.

Wśród ludu wioskowego, mówiono wszędzie o bliskim końcu świata, bo Antychryst rozpoczął gospodarę na ziemi. Trwoga niewymowna, doprowadzająca do obłędu, opanowała serca i umysły.

Okoliczne dworki i zameczki, znacznieszych rodów w Polsce, zrównywał Dyabeł z ziemią, obdzierał je i rabował z majątków. Nie zapomniał również i o Grabińskim — dawnym podstarościm leżajskim — za którym podążył do Sokołowa, poniszczył tam wszystkie domy, ograbił i sprofanował kościół, a następnie zabrał z miasta wszystkie zasoby zboża.

Pochód Stadnickiego, wśród rabunków i rozbojów, zbliżał się zwolna do samego Leżajska. Już ani mandaty, ani też groźby króla Zygmunta III, nie zdołały wpłynąć uspokajająco na awanturnicze usposobienie łańcuckiego pana.



W pierwszych dniach sierpnia 1608 r. panował w Leżajsku popłoch nie mały. Mieszkańcy przerażeni wiadomościami o zbliżaniu się Dyabła, łamali rozpacznie dłonie, nachodzili ustawicznie zamek i domagali się, aby ślać czemrychlej do króla posłów o natychmiastową pomoc. Ale ani wyjazd starosty Opalińskiego do Krakowa o pomoc w ludziach, ani też zabiegi ks. opata tynieckiego wysłanego przez króla, nie zdołały pohamować Stadnickiego.

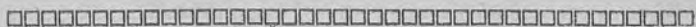
Pan na Łańcucie — przywołał sobie całe piekło do pomocy. Z króla i magnatów kpił, a w pochodzie zwyciężkim znać swoje ślady łupieztwem i pożogą.

W pobliżu drogi wiodącej do Sanu — za Leżajskiem, setki rąk chłopskich sypały gorączkowo obronne okopy. Poddani leżajskiego starosty — z Giedlarowej i Dębna, przejęci trwogą, zgłaszali się sami, dobrowolnie do tej pracy, do której namawiał ich teraz usilnie wędrowny ksiądz Prokop.

A w mieście ruch panował niebywały.

Od szarego świtu do ciemnej nocy, manewrowało wojsko po rynku i ulicach. Huk kotłów, grania trąb, nawoływania dowódców, mieszały się z odgłosem kroków żołnierzy i krzykiem tłoczącej się gawiedzi.

Przed gospodą Dubiela, którą wskazywała z dala ogromna wiecha, zawieszona nad wchodem, oraz dużych rozmiarów wieniec, grupowali się co-



dziennie mieszczanie, radząc i omawiając najświeższe wypadki.

Jednego dnia — od strony Giedlarowej — pojawił się jeździec na spienionym koniu. Był to gońiec, jadący z wieściami do zamku.

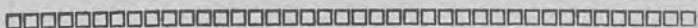
Mieszczanie stojący przed gospodą, obstąpili go dokoła i poczęli pytać o nowiny. Ale przybysz odpędzał ich energicznie i konia nogami podniecał krzyżąc, aby mu z drogi ustąpili, bo ważne i nagłe wieści wiezie dla zamku, których im wyjawić nie może.

Koń koloru myszatego, w kabłąk wygięty, na wysokich nogach, parskał i parł się naprzód, wreszcie przełamał zaporę ludzką i pomknął naprzód. Za nim, falą całą rzucili się rozciekawieni mieszczanie, a pierwszy między nimi biegł sułienik Zawada.

Gońca wpuszczono do zamku; tłum zatrzymał się.

Długo czekali. W bramie pojawił się wreszcie pan Tulejka, a za nim wyszedł hajduk, który uderzył trzykrotnie w róg i obwieścił zgromadzonemu, że Dyabeł minawszy Żołyńię zdąży ku Giedlarowej, skąd na noc gotów z wojskiem zagościć do Leżajska.

Wieść ta podziałała piorunująco. Wszyscy poniemieli z przerażenia. Skoro jednak minęło pierwsze wrażenie, zawrzało w gromadzie jak w ulu.



Pan Tulejka począł zebranych uspokajać i zalecać im, aby natychmiast wyprawiali kobiety, dzieci i starych za miasto w stronę okopów, skąd ludzie zamkowi ułatwią im przeprawę przez San. Ale słowa jego zagłuszyła wrzawa i tłum rzucił się w stronę rynku.

Tutaj wylazł Zawada na poręcz, stojący przed gospodą Dubiela, i pragnąc głos zabrać, począł nawoływać aby się uciszyło. Ale równocześnie zagrzemiał w pobliżu róg, i hajduk począł wygłaszać rozkaz, aby starzy, kobiety i dzieci, uchodzili zaraz za miasto, w stronę okopów.

Ledwie tylko przycichły słowa hajduka, ozwał się piskliwy głos Zawady.

— Nie pora nam takich rozkazów słuchać, kiedy mamy nóż na gardle. Wcześniej nam trzeba było już o ucieczce pomyśleć. Teraz lepiej zostaniemy wszyscy w mieście, i posłów pošlijmy do łańcuckiego pana z błaganiami o litość, aby nas szczenił i w opiekę wziął.

— Precz z Zawadą! — zagrzemiał naraz gromki głos pana Tulejki.

— Dyabłu się chce zaprzedać! — wołały liczne głosy.

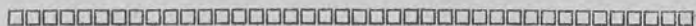
— Prawda, prawda! — zahuczało w tłumie

— Pomoże Dyabłu kościoły rabować!

— Poświnoga!

— Psubrat!

— Na gałąź z nim!



— Na gałąź, na gałąź!

Poruszył się tłum i zaszemrał złowrogo.

Zawada skulił się i wybuchnął płaczem.

— Ja tylko z obawy o dzieci tak radziłem —
począł się tłumaczyć ze łzami.

Tłum podniósł pięście do góry.

— Własne dzieci Dyabłu chciał oddać!

— A nasze także!

— Katu go dać!

— Na gałąź z nim, na gałąź!

Znikł Zawada w tłumie; fala ludzi porwała
go i długo wlokła ze sobą.

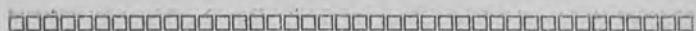
Naraz ozwał się dzwon kościelny. Tłum za-
trzymał się na chwilę.

Wtedy pan Tulejka począł przemawiać i za-
klinać wszystkich, aby nie tracili czasu, ale czem-
rychlej wysyłali swoje rodziny, bo Dyabeł na nocleg
gotów już do miasta zawitać. Rada jego poskutko-
wała. Zaraz rzuciły się tłumy ku swoim domom.

Dzwon bił rozgłośnie na trwogę. Całe miasto
nappełniło się krzykiem i zawodzeniem.

Zawada poturbowany dotkliwie, korzystając
z zamieszania umknął gdzieś i zniknął bez śladu.

Słońce pochylało się już ku zachodowi, kiedy
ruszyły z miasta pieszo i wozami gromady kobiet,
dzieci i starców. Pochodowi temu przewodniczył
konno Kołaczkowski, który miał rozkaz przeprowadzić
wszystkich za okopy, na drugą stronę Sanu.



Smutek, jak ciężka chmura osiadł na skroniach tej wędrownej gromady. Dzieci — przestraszone wieścią, że Dyabeł je ściga — zanosily się od płaczu i tuliły się do matek, których oczy zmętniały łzami, oglądały się trwożliwie w stronę miasta.

Anka o wyjeździe z miasta słyszeć nawet nie chciała. Dopiero na usilne zaklinania ojca i Godlewskiego, dała się ledwie przemocą wsadzić do kolasy, i wraz z matką, wywieziono ją już późnym wieczorem.

Na zamku żołnierze z uzbrojonym mieszczactwem i chłopami, zajęli wyznaczone stanowiska, i czekali na przywitanie łańcuckiego gościa.

Noc minęła jednak spokojnie.

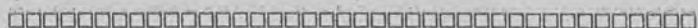
Dopiero na drugi dzień około południa, wpadł do miasta goniec z wiadomością, że wojska nieprzyjacielskie obozują w Giedlarowej.

O zmierzchu tegoż dnia, krwawa luna rozlana na niebie zwiastowała, że łańcucki pan gospodarzy w pobliżu. Czuwano przez całą noc na zamku.

O wczesnym świcie, kiedy zorze poczęły krasieć wschodnią część widnokregu, wojska Dyabła poczęły wkraczać do miasta.

Z baszty zamkowej ozwały się stłumione nawoływania i ostrzeżenia. W mieście opustoszałym zaległa wielka cisza, jakby wszystko tutaj wymarło.

Pan Tulejka obchodził strażę rozstawioną na basztach i okopach, dawał ostatnie rozkazy, i zalecał wielką czujność.



Pierwsze oddziały wojsk łańcuckich wkroczyły do miasta. Długim sznurem jechali wolno i ostrożnie harcownicy, dalej za nimi płaskonosi łucznicy tatarscy, ze spisami kozacy, cuchnący dziegciem i gorzalką, wreszcie postępowali węgierscy sabaci, przybrani w obcisłe spodnie, wysokie czapy i krótkie bluzy z dużymi guzami. Mrowie ludzkie i końskie zalało wnet całe miasto. Zdało się, że cały las drzew, pod naporem burzy wystąpił ze swoich podstaw i w groźnych pomrukach posuwał się naprzód. Pojedyncze grupy rozpraszały się między uliczkami, zajmowały każdy opustoszały dom po domu, obsadzały go ludźmi i posuwały się ostrożnie dalej. Kiedy zbliżyły się do zamku, huknęły naraz z baszty strzały z rusznic i armatek.

Zakłębiło się w tej zbitej masie i wrzask z setek gardzieli rozległ się piekielną muzyką.

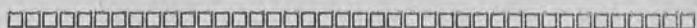
Pan Tulejka patrzył z okopów na tę czerń zalewającą miasto, i czoło poczęło mu się marszczyć brzdami.

— Do południa, wykurzy nas stąd ta zgraja — ozwał się do niego stojący obok Głuchowski.

— Może nie tak prędko — odparł zagadnięty. — Ale całe miasto zawszawią nam na całe wieki.

— Jatki z naszego mięsa na zamku założą — wniósł się do rozmowy Godlewski.

Pan Tulejka zaprotestował.



— Nie sędzę, żeby aż tak źle było. Możemy być pewni, że zamek Dyabeł posiedzie, bo za mało obronny, aby takiej czerni się oparł, jakiej nie spodziewaliśmy się wcale oglądać, ale nas wszystkich, pewnie jego ręka nie dosięgnie.

Godlewski i obok stojący Szepelak spojrzeli na siebie pytająco, nie mogąc zrozumieć ostatnich słów pana Tulejki. Ale uwagę ich zwróciły naraz nowe wybuchy krzyków i ruchy wojsk łańcuckich, które poczęły zamek otaczać.

Coraz to nowsze oddziały dyablich zastępów napływały do miasta, i chciwe rabunku rozpraszały się po zaułkach.

Dzień wstał jasny, pogodny, ale wionął jesiennym chłodem.

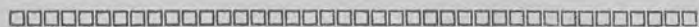
Z wieży kościelnej rozległo się gwałtowne dzwonienie. To zgrają łańcucka biła w dzwon, na znak opanowania świątyni.

Między czerniawą padały rozkazy, wzmagal się ruch i wrzask piekielny.

Z okopów i baszt zamkowych huczały bezustannie działka i rusznice, naco gęstym ogniem poczęły odpowiadać armatki Dyabła.

Pan Tulejka co chwila przebiegał wszystkie miejsca, dawał żołnierzom rozkazy, sam doglądał zmiany strzelców, wyznaczając wszystkim w którym miejscu mają stać i jak się bronić.

Na zamku nie spodziewano się wcale, że Dyabeł aż takie znaczne siły na miasto sprowadzi, dlatego



też zwątpili teraz mieszczenie, czy długo zdołają się utrzymać na stanowiskach. Ale wśród nich grała rolę ambicya, podniecana przez pana Grzegorza, dlatego też postanowili bronić się do ostatka, żeby tylko Dyabeł zaraz po pierwszych strzałach nie znalazł się w posiadaniu zamku.

Pan Tulejka obchodząc okopy i baszty, zagrzewał wszystkich do męstwa i zapewniał, że nie tak straszny ten Dyabeł, jak wieść o nim głosi.

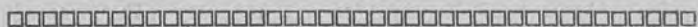
Wkoło zamku za fosami, wrzało mrowie wśród huku strzałów, krwawe błyski zakwitały co chwila, przecinały powietrze i długimi smugami dymów zasłaniały widok, zanim wiatr nie rozwiął je w przestworzach.

Naraz padły krótkie rozkazy i zagrzmiały trąby.

Jak stado zgłodniałych zwierząt, rzuciła się dzicz przez głęboką fosę, okalającą zamek. Spychano się wzajemnie, jedni przez drugich tłuścili się na dno i z wrzaskiem wspinali się na drugi brzeg fosy. Dzicz opanowała wnet dębowy częstokół, ogrodzony gęstym płotem od dołu. W ruch poszły topory, zatrzeszczały i zachwiały się silne pale.

Ale grad kul, który coraz gęściej sypał się z okopów, wstrzymywał porywczość łańcuckich żołdaków. Coraz bardziej kłębiło się w tem mrowisku, coraz częściej odzywały się jęki i charczenia.

Czerń niszczyła zawzięcie ostrokół i przez zrobione wyłomy, posuwała się ku okopom. Tutaj



rażona silnym ogniem, rozpraszała się na wszystkie strony, pozostawiając po sobie rannych i zabitych.

W ich miejsce, szły napędzane od tyłu coraz to nowsze zastępy żołnierzy do ataku. Pchali się naprzód zwartym murem jedni przez drugich, a kiedy podsunęli się już pod same okopy, rozpraszali się znowu w zamieszaniu, rażeni ulewą śmiertelnych pocisków.

Działka i rusznice ziały na wyścigi gęstym ogniem, a kule, padając i na pobliskie domy, opalone przez żołnierzy Dyabła, czyniły między nimi wielkie spustoszenia.

Do samego południa trwał ten zajadły atak, ale Opalińszczycy trzymali się dzielnie.

W pobliżu fosy stanął Stadnicki i począł bacznie przyglądać się zamkowi.

Po brodzie i stroju poznano go w okopach.

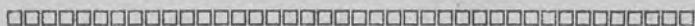
— Dyabeł, Dyabeł! — huknęły głośne krzyki Opalińszczyków i kilkanaście rusznic skierowanych w tę stronę dało ognia.

Stadnicki uśmiechnął się szyderczo i wziął się pod boki.

— Kto na tem kretowisku przewodzi? — zagadnął jednego ze swoich oficerów.

— Jakiś Tulejka.

— Tulejka? W swojej psiarni miałem stróża Tulejkę. Toć to nie szlachcic nawet, tylko cham. Aż wstyd mi z takim się borykać. Buty każę sobie



zrobić z jego skóry, skoro go tylko w swoje ręce dostanę.

— Dziś jeszcze, pewnie wasza miłość mieć go będzie.

— Tylko mi go żywego dostawić, słysz waść, żywego!

— Stanie się według woli waszej miłości.

Strzały milkły, uciszał się zwolna gwar. Między czernią odzywał się odgłos trąb i piszczałek, nawołujących do zaprzestania ognia.

Ale spoczynek ten nie trwał długo.

Dyabeł spieszył się w swoim łupieżkim pochodzie, więc nie chciał długo zabawiać się przy tem leżajskim „kretowisku“.

Niebawem ozwały się znów trąby i piszczałki; padły nowe rozkazy do ataku. Fale czerni przeszły brzegiem fosy, okrążyły zamek i zaszły od tylnych okopów. Przeprawiły się przez płytką wodę, zalewającą głębszą część fosy i przypuściły nowy szturm.

Ognie zakwitły znowu; grad kul przywitał atakujących. Wrzask piekielny i jęki rozległy się znowu. Gromadnie cofano się już ku tyłowi, kiedy nowa napływająca chmura dziczy zatrzymała ich i poczęła przeć naprzód. Jedni przez drugich pchali się i skłębili w jedną wrzącą masę, mając jednak odwrót zagrodzony nowym murem ludzi, poczęli coraz natarczywiej wdzierać się na okopy.



Tymczasem we frontowej części zamku, pociski wojsk Dyabła robiły coraz to większe spustoszenia. Pękały mury komnat, waliły się dachy, ściany w basztach doznały licznych i bardzo poważnych uszkodzeń. Kule z działek padały na dziedziniec zamkowy, na którym gromadziła się część załogi. Liczba rannych i zabitych rosła.

Największy bój wrzał jednak od strony tylnych okopów, które były słabiej zaopatrzone. Dżicz parła się tutaj całą falą.

Opalińszczycy dzielnie stawili im opór. Porwani szalem boju, odpierali skutecznie ataki, czyniąc między Dyablami szeregami wielkie spustoszenia.

Naraz działka i rusznice po stronie oblęgających zaprzestały swoją muzykę, i atak skierowano tylko w stronę tylnych, najsłabszych okopów. Całe mrowie spędzono w tę stronę.

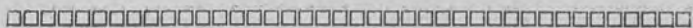
Los zamku wisiał teraz na włosku.

Pan Tulejka rozejrzawszy się w tej krytycznej sytuacji, przypadł zziąjany na dziedziniec.

— Karaś! — zawołał głosem rozkazującym — Wiedź do lochów!

Stary odźwierny zapalił natychmiast smolne szczapy drzewa, założył je do drucianej siatki i zeszedł do piwnic. Za nim długim sznurem pospieszyli mieszczanie, zabierając ze sobą rannych.

Spuścili się do niskiego lochu, ciągnącego się



— Rozsyłałem ludzi, celem przeszukania miejsc za miastem, czy niema gdzie ujścia z lochów, ale żadnego śladu nie znaleziono.

— Za leżajskimi mieszczuchami, po kopcach szukać nie będziemy. Nic nam po nich. Jutro, trzeba część wojska posłać w stronę Dębna.

— Stanie się, jak wasza miłość rozkaże.

— Ale słuchajno waść. Obiecałeś mi dziś jeszcze oddać w ręce Tulejkę. Czy ten odważny obrońca także umknął?

— Nie zbadałem jeszcze tego. Mamy dwóch znaczniejszych mieszczan, więc jeden z nich, to on pewnie będzie.

— Idź waść i zaraz każ przyprowadzić tutaj obu.

— Stanie się wedle rozkazu.

— Tylko zaraz. Już wprawdzie noc, ale spać nie mogę. Wolę więc dziś jeszcze obaczyć tych kretów.

Oficer zniknął za drzwiami.

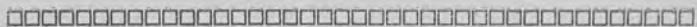
Po długiej chwili wprowadzono pana Tulejkę.

Dyabeł zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy i zapytał krótko.

— Waść kto taki?

— Grzegorz Tulejka jestem — odparł zapytany.

— Hę? Jak? Tulejka? To waść kierował obroną tej budy, której nawet dworkiem nazwać nie podobna?



— Tak, ja kierowałem obroną tej budy.

Stadnicki długo przypatrywał mu się uważnie.

— Choć waść nie szlachcic, ale przyznaję, żeś bronił się niezgorzej.

— Jak mogłem, tak się broniłem; ale to mnie dumą napawa, że szlachcic, przy pomocy mrowia żołnierzy i tak cały dzień do tej budy dobierać się musiał.

Stadnickiemu oczy złowrogo się zaświeciły.

— Milcz, bo cię zaraz zadławić każę!

— Wasza wola mości starosto zygwulski. Przygotowany byłem na wszystko, skoro do ostatka na zamku pozostałem!

— Ty mi tu nie śmiej tak hardo odpowiadać i w oczy patrzeć! — zawołał wzburzony Dyabeł, podnosząc się nagle z krzesła. — Bo ja nie zniosę słów, ani buty, żadnego z podpalaczy i złodziejów mojego Łańcuta. Zdało się wam, że złupiwszy mój zamek, położyliście już kres Stadnickiemu na zawsze, i że jak żebrak, o łaskę będę was może prosił. Ale zawiodły was rachuby, bo Stadnicki mściwy, niczego płazem nie puszcza, a każdy z was gardłem mi odpowie, skoro tylko dostanę go w swoje ręce.

I podchodząc bliżej ku panu Tulejce, pogroził mu zaciśniętą pięścią i zawołał.

— Słyszysz sługusie leżajskiego starosty? Każdy z was gardłem mi odpowie, czy prosty pachol, czy nawet sam Opaliński, jeśli tylko moja ręka go dosięgnie. Za spalony Łańcut, będę się mścił na



was aż do ostatniego tchu. Słyszysz sługusie leżajskiego starosty?

Pan Tulejka skłonił się i odparł hardo.

— Tak, słyszę dobrze mości starosto zygwulski. Los zwyciężonych, zależny jest od woli i łaski zwycięzcy, więc dziś i ja jestem w waszej mocy.

Dyabeł długo patrzył z podelba na pana Grzegorza i wściekłość coraz większa poczęła go opanowywać, za ten jego zimny i pogardliwy ton. Piers poruszała mu się gwałtownie, w oczach płonął groźny żar.

Dał rozkaz hajdukowi, stojącemu przy drzwiach, aby przywołał zaraz Ilka.

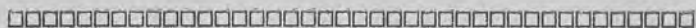
Za chwilę wszedł szpakowaty drab z długą brodą, którego przed laty, z lochów więziennych w Przeworsku oswobodził Stadnicki, robiąc wyprawy rabunkowe po okolicy, z rodzinnego swego miasta Dubiecka.

— Zabierz tego bohatera pod swoją opiekę! — rozkazał Dyabeł przybyłemu — Tylko związać go trzeba, bo przy leżajskim staroście przywykł do wielkiej wolności, więc gotówby nas bez pożegnania opuścić.

Ilko znikł z panem Tulejką za drzwiami.

Stadnicki począł chodzić po komnacie dużymi krokami, tarł czoło i targał brodę, to znów przystawał chwilami i mruczał coś pod nosem.

Hajduk wprowadził Godlewskiego.



Dyabeł zoczywszy go, cofnął się o krok, oczy zmrużył i wybuchnął szatańskim śmiechem.

— A! Witam, witam! Jak widzę, mamy szczęście do siebie mości Godlewski, skoro drugi raz już schodzimy się w życiu. Tylko że waść — chociaż wynalazłem mu jakieś tam szlachectwo — zawsze chamem trącisz. Uciekłeś jak złodziej z Łańcuta, i nie podziękowałeś nawet za gościnę, którą na zamku u mnie znalazłeś.

— Jestem prawdziwie wdzięczny waszej miłości, za starania poczynione w grodzie w mojej sprawie — odpowiedział Godlewski z ukłonem — i czuję się dozgonnie dłużnym za gościnę, jaką znalazłem w Łańcutcie. Ucieknąć jednak musiałem, bo do Łańcuta przywyknąć nie mogłem...

— Nie mogłeś waść przywyknąć? A to czemu?

— Bo nie mogłem znieść codziennego widoku męczenia tylu ludzi...

— Co? Jak? Waść tu będziesz mi prawić o męczeniu ludzi? To wrogi moje i łajdaki, nie wolno mi gnębić i gardło ich wziąć? Widzę, że ty leżajski burmistrz, chciałbyś mi tutaj apostołskie kazanie powiedzieć, jak mam postępować. Ale wara ci od takich uwag, bo jedno jeszcze podobne słowo, a język wydrzeć ci każę, abyś zamilknął raz na zawsze.

W drzwiach pojawił się znowu Ilko.

— Zabierz tego mieszczucha także pod swoją opiekę! — zawołał Dyabeł do wchodzącego. —



Będzie stosownym towarzyszem dla Tulejki. Tylko pamiętaj, mocno ich powiązać, aby obaj wiedzieli, że są w mocy łańcuckiego pana. A w Łańcucie musimy ich zaprawić do widoku tortur, aby do nas przywykli.

Ilko znikł ze skazańcem za drzwiami.

Zaraz w sieniach, porwali Godlewskiego sabaci, związali mu silnie ręce w tył, potem spętali nogi, i oba końce sznurów ściągnęli razem w tyle na krzyżach, tak, że więzień stanąć nie mógł, tylko musiał leżeć w tył wygięty. Następnie wzięli go na ręce, ponieśli przez dziedziniec zamkowy, oświetlony dużymi ogniami — przy których gromadziła się pijana dzicz — porzucili w świerzeniu na ziemię i drzwi za nim zamknęli.

Godlewski leżał długo i skąpał wszystkie myśli. Ciemność zupełna panowała tutaj.

Naraz, zaszeleściało coś i ciężkie westchnienie ozwało się w przeciwnym kącie.

Godlewski słuch wyteżył; poznał, że nie jest sam.

— Kto tu? — zapytał szeptem.

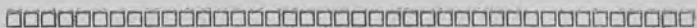
— A tam kto? — ozwał się drugi, stłumiony głos.

Zaległa chwilowa cisza.

— Czy to może wy, mości panie Grzegorzu? — zapytał po chwili Godlewski.

— Ja.... a wy kto?

— Ano swój... burmistrz...



— A! Takżeście tutaj? Jednak nasz los.

Rozpoczęli cichą rozmowę. Wnet jeden ku drugiemu począł się powoli przysuwać.

— Teraz radźmy, ale prędko, bo czas ucho-
dzi — ozwał się pan Tulejka.

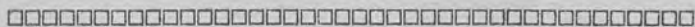
— Ma waść dobre zęby? — zapytał burmistrz.

— Dawniej były, ale zjadły się. Rozumiem
o co waści chodzi, bo sam myślałem teraz nad tem,
ale ja, nie dam rady.

— Ja spróbuję, może mnie się uda.

To mówiąc, podsunął się Godlewski jeszcze bliżej, tak, że sięgnął głową krzyżów pana Tulejki. Chwycił zębami sznur, krępujący ręce towarzysza i począł go gryźć. Miał zęby nie zbyt silne, więc przegryzał powoli włókna jedno po drugim, spluwał od czasu do czasu i dyszał ciężko, znużony tą robotą.

Obaj więźniowie wiedzieli dobrze, że dostaw-
szy się w ręce Stadnickiego, albo żywi z rąk jego
nie wydostaną się więcej na wolność, albo też puści
ich obu kalekami, po rozmaitych mękach i długim
więzieniu. Szczególnie Godlewski, który tylekroć
widział egzekucye na zamku łańcuckim, na myśl, że
i jego spotka los podobny, jak tych męczonych ska-
zańców, czuł, że pot kroplisty występuje mu na
skronie. Dobywał więc wszystkich sił, nadwierał
szczęki i przegryzał włókna postronka jedno po
drugim.



Pan Tulejka chcąc przyspieszyć pracę towarzyszowi, prężył mięśnie z całej mocy i naciągał pęta, które miał ręce skrepowane.

Naraz — powróż pękł. Więzień oswobodził zdrtwiałe członki, wyciągnął się i począł rozwiązywać sobie sznury na nogach. Następnie oswobodził z pęt Godlewskiego.

Mała nadzieja wydostania się z rąk Dyabła poczęła dla nich świtać, mimo, że niezmiernie trudną było rzeczą umknąć ze świerzenia, przy drzwiach którego słychać było głosy trzymających straż żołnierzy.

Obaj więźniowie wstrzymali na chwilę dech w piersiach, i poczęli bacznie nasłuchiwać.

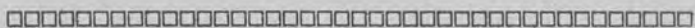
Krzyki i śpiewy na dziedzińcu zwolna przycichaly, ruch ustawał. Tylko wiatr szemrał tajemniczo, tułając się po zaułkach zamku.

— Spieszmy się, bo jak się uciszy całkiem, każdy nasz ruch usłyszą strażnicy — ozwał się szeptem pan Tulejka.

Poczęli posuwać się wzdłuż ściany.

— Chodź waść bliżej... znam tu każdy kąt... — mówił pan Grzegorz — Drabiny nam brak, będzie ciężko... W górze jest stryszek, przez otwór w suficie dostać się tam musimy... Wyleź mi waść na plecy i na górę...

Zgarbił się i ręce oparł o ścianę, a tymczasem Godlewski, wylazł mu na barki i rękami namacał niski sufit z otworem.



Obawa przed Dyablem dodawała im siłę, więc wszelkie trudności łatwo pokonywali.

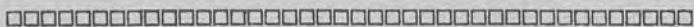
Wgramolił się więc Godlewski na stryszek, położył się tam na brzuchu, przez otwór towarzyszowi ręce podał, i po chwili wciągnął go na górę.

Stryszek cały zawalony był rupieciami. W jednej ścianie mieściło się zakratowane okno, w przeciwnej zaś były drzwi, za którymi mieściła się galeryjka.

Wsunęli się obaj przez drzwi na galeryjkę, przykucnęli nisko, i przez balaski poczęli oczy w mrokach zatapiać.

Co się działo na dziedzińcu, nie mogli stąd widzieć, gdyż świerzeń stał na uboczu, a drzwi górne z galeryjką mieściły się od tyłu i zwrócone były w stronę wirydarza. Wzdłuż frontowej ściany budynku, w której mieściły się dolne drzwi wchodowe, od stryszku zaś zakratowane okno, znajdowało się przejście na dziedziniec, które znowu łączyła furtka z wirydarzem.

Obaj więźniowie długo wpatrywali się, czy nie zdołają dojrzeć stróżujących żołnierzy. Ale z tej strony, nie było widać nikogo. Sabaci, trzymający straż byli pewni, że powiązani więźniowie nie ruszą się nawet ze swoich miejsc, dlatego też pilnowali tylko drzwi wchodowych, za którymi zamknęli uwięzionych.



— Wiatr i ciemno, że oko wykol — ozwał się szeptem Godlewski.

— Tem lepiej — odparł pan Grzegorz. — Szmerów naszych przy wietrze nikt nie posłyszysz.

— Byle tylko z wirydarza przedostać się do okopów.

— Czekajmy jeszcze, aż ognie na dziedzińcu pogasną, a straż uśnie.

Umilkli i znowu pograżyli się w rozmyślaniach.

— Mości panie Grzegorzu! — ozwał się po długiej chwili szept Godlewskiego.

— Cóż tam?

— Jak przedostaniemy się na wirydarz?

— Zaraz będziemy próbować.

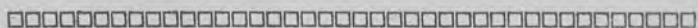
Wziął pan Tulejka sznury, którymi byli skrupowani, powiązał je razem, a następnie jeden koniec do grubego filara galeryjki umocował. Za chwilę zniknął w dole. Godlewski poszedł zaraz za przykładem towarzysza.

Pod ścianą wirydarza przystanęli obaj i poczęli nadśłuchiwać.

Na dziedzińcu uspokoiło się, krzyki i śpiewy umilkły, tylko pojedyncze głosy można było rozróżnić.

Już mieli ruszyć z miejsca, kiedy odezwały się naraz w pobliżu ciężkie kroki. Przypadli więc obaj do ziemi i cicho się przyczaili.

Furtka prowadząca na dziedzińiec otworzyła się. W niej zjawił się wysoki, czarny cień, przy-



stanął i po chwili ruszył wolno w głąb wirydarza, gdzie nocowały gromady żołdactwa.

— Musimy chwilę jeszcze poczekać — szepnął pan Tulejka do towarzysza.

Usiedli pod ścianą świerzenia.

Zwolna pogrążał się zamek w śnie. Pojedyncze głosy i kroki odzywały się już tylko przy okopach, gdzie straż trzymali żołnierze.

— Będzie już koło północy? — zapytał Godlewski.

Pan Grzegorz rozglądnał się po niebie, ale chmury zawałyły je całkiem, że gwiazd nie było wcale widać.

— Sądzę, że będzie niezadługo. Teraz czas nam już ruszyć.

— Chodźmy!

— Boże prowadź nasze kroki.

Chyłkiem poczęli się posuwać. Otworzyli cicho furtkę i wyszli. Ale zatrzymali się zaraz, bo tuż przy drzwiach świerzenia, obaczyli dwa czarne, pochylone cienie. Byli to strażnicy, którzy spali, siedząc na progu.

Trzeba było przejść właśnie obok nich.

— Chodźmy, — szepnął pan Grzegorz — skoro ale się obudzą, śmierć nasza, jeśli ich nie zdławimy na miejscu.

Jak dwa cienie, posunęli się naprzód.

Z bijącym sercem minęli niebezpieczeństwo i znaleźli się na skraju dziedzińca, który musieli

obejść, aby dostać się na przeciwną stronę, a stamtąd do okopów. Ale zadanie to wydało się im teraz trudniejsze do wykonania, jak sądzili poprzednio. Jakkolwiek bowiem sen owładnął zamek, strażę jednak czuwały.

Wielkie ognisko paliło się na środku dziedzińca, a przy nim widać było kilka czarnych postaci, kiwających się w drzemce. Wokół, jak barany, spali na ziemi żołnierze.

Pan Tulejka i Godlewski przypadli do ziemi i kierując się jak najdalej od światła, poczęli pełzać. Posuwali się wolno jeden za drugim, zatrzymując się co chwila i nad słuchując. Minęli w ten sposób połowę dziedzińca.

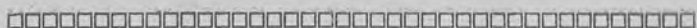
Teraz jednak dalsze posuwanie się stawało się więcej uciążliwe. Czem bardziej zbliżali się do drugiego końca dziedzińca, tem więcej napotykali śpiących na ziemi sabatów, pomiędzy którymi musieli się przekradać.

Zaledwie parę kroków dzieliło ich od bramy prowadzącej z dziedzińca do okopów, kiedy posłyszeli zbliżające się kroki. Przyczaili się i dech wstrzymali.

Za chwilę pojawiło się obok nich kilka wysokich postaci, które skierowały się w stronę ogniska.

Był to patrol, kontrolujący rozstawione placówki.

Po chwili zerwał się pan Tulejka i szepnął do towarzysza.



— Teraz chodźmy, ale śmiało.

— Na miły Bóg, co waść czynisz?

— Udawać musimy powracający patrol; ciemno, że oko wykol, teraz jedyna sposobność.

Ruszyli naprzód.

Minęli bramę, przeszli obok baszty, ale kiedy skierowali się w stronę okopów, jakby na komendę padli zaraz obaj na ziemię.

Wzdłuż okopów płonęły co kilka kroków małe ognie, przy których widniały czarne, poruszające się sylwetki żołnierzy.

Obu więźniów przeszło mrowie. Teraz dopiero spostrzegli, że przedostać się poza obsadzone wojskiem stanowiska było prawie niepodobieństwem.

Leżeli długo bez ruchu. Zbudził się żywszy wiatr i począł szemrać tajemniczo. Czas upływał szybko; za parę godzin świt miał już powstać.

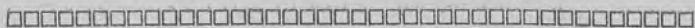
— Mości panie Grzegorzu, co pocniemy? — szepnęła cicho Godlewski.

— Jest jedyna tylko rada — odpowiedział zagadnięty.

— Jaka?

— Musimy pełzać ku okopom w dwóch kierunkach. Razem byłoby o tyle niebezpieczniej, że razem mogliby nas obu schwytać. Pojedynczo zaś, jeśli udamy się w przeciwne strony, to może się udać umknąć bodaj jednemu.

Godlewski z powątpiewaniem pokiwał głową.



— Zdaje mi się, że z tej matni żaden z nas nie umknie.

— W Bogu nadzieja. Ale gdyby straż zrobiła larum i jednego z nas schwytała, niech drugi korzysta z zamieszania i czem rychlej poza wał uchodzi.

— Dobrze, dobrze — ozwał się po chwili zrezygnowany Godlewski — Ale lepiej waść umykaj, a ja — dam się schwytać, bo siły naprawdę już mnie opuszczają.

— Co też waść takie rzeczy prawi — ofuknął towarzysza pan Grzegorz — Chłop z waści jak mur, a sił niema! Jeśli kto, to przecie waść powinien starać się umknąć, bo naraziłeś się Stadnickiemu tem zniknięciem z Łańcuta, a on zechce się zato teraz mścić. Mnie zresztą, nie grozi nic tak straszego i mam nadzieję, że na śmierć nie zostanę sądzony, jeśli będę schwypany... A gdyby nawet!... Niemam przecie nikogo, nikt za mną nie zapłacze, a waść, masz ojca starego i kogoś jeszcze, ktoby sobie oczy wypłakał...

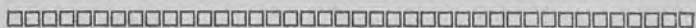
Godlewski westchnął cicho.

Pan Grzegorz szeptał dalej, urywanym głosem.

— Musimy upatrzeć dwa większe rozstępy między ogniskami, i każdy z nas osobno podpełza w tę stronę, aby cicho za wał się przedostać.

Chwilę milczeli, rozglądając się bacznie.

— Mości panie Grzegorzu — ozwał się wreszcie Godlewski. — Jak mnie schwytają, a Dyabeł



gardło moje weźmie, powiedzcie Ance... żem jej był całą duszą, aż do ostatniego tchu...

— Dobrze, dobrze, jeno nie prorokuj waść tak czarno. Nadzieja w Bogu. Waści, łożnica małżeńska, a nie śmierć się patrzy!

— Daj Bóg, aby się te słowa spełniły.

Westchnęli obaj, wyciągnęli ku sobie ręce i serdecznie poczęli się ścisnąć.

— Już czas na nas...

— Czas... czas...

— Szczęśliwej drogi.

— Boże prowadź...

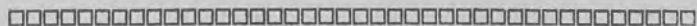
Jeszcze jeden serdeczny uścisk i ręce ich zerwały się.

Poczęli pełzać ku wałom.

Żywszy wiatr napłynął naraz od północy, począł szemrać tajemnie, włókł na swoich skrzydłach nad zamkiem i całym Leżajskiem jakieś bolesne jęki i szepty, porywał kłęby dymów z płonących ognisk i miotał nimi w ciemnościach. Po niebie rozpełzły się czarne, brzemienne chmury, że wszechświat cały wydawał się bezdenną topielą atramentu.

A drzewa stojące w pobliżu okopów, w drgawkach sennych majaczeń, mówiły coś tajemniczo, jęczały i pochylały ku sobie огоłocone z liści gałęzie.

Długa chwila minęła. Patrol sabatów obszedł wszystkie placówki i oddalił się w stronę zamku, a strażnicy przy okopach kiwali się dalej w drzemce przy dogasających ogniskach.



Na baszcie ozwał się żałosny głos puszczyka, za chwilę zawtórował mu drugi i trzeci, wreszcie wiatr zmaćił te wołania, z głośnym chichotem uderzył o drzewa, zatrzęsł gałęziami i powałęsał się w stronę miasta.

Nagle przy jednym ognisku zerwał się sabat, za nim powstali inni i krzyk przeraźliwy podnieśli. Ocknęli się z drzemki towarzysze. Zaroiło się wnet w tem miejscu. Buchnął wielki ogień.

W łunie czerwonego światła, stał otoczony pan Tulejka.

Chwilę okrążała go dzicz i przypatrywała mu się ciekawie. Skoro ale przekonali się, że pojmany niema żadnej broni, rzucili się na niego, powalili na ziemię, związali ręce i nogi i powlekli zaraz na dziedziniec.

Ilko miał władzę i dozór nad jeńcami, udali się więc do niego.

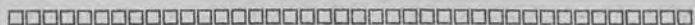
Poczęli go budzić. Ale ten, uraczywszy się w piwnicach zamkowych, nie chciał nawet słyszeć o tem, aby wstawać do jeńca.

Pod silną strażą, pozostawiono więc pana Tulejkę na dziedzińcu do rana.

Dopiero o świcie, kiedy obudził się Ilko, przekonali się, że jeńiec jest tym samym, którego zamknięto w świerzeniu razem z burmistrzem.

Wtedy Godlewski dawno już był za miastem na wolności.





Ilko idący obok z miną napuszoną, głaszczący z zadowoleniem długą brodę.

Pochodowi towarzyszyły okrzyki na cześć Stadnickiego, warkot kotłów i przeraźliwe odgłosy piszczałek.

Przez mętne, rozlane kałuże, patrzące na świat jak chore, zapłakane oczy, posuwał się cały ten zwyczajki pochód łańcuckiego pana.

Ilko przewodził między jeńcami.

Ileć tylko spostrzegł, że pan Tulejka nie idzie środkiem drogi, ale zbacza i wybiera do przejścia mniej błotniste miejsca, pociągał tak silnie powrozem, że więzień ściśnięty pętlą za szyję zataczał się do kałuży, czem za każdym razem wzbudzał między ludźmi Dyabła wybuchy śmiechu.

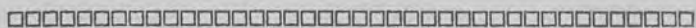
Pan Grzegorz bladł i czerwieniał na przemiany. Czuł się jeńcem Stadnickiego i wiedział, że go czeka niejeden ból i upokorzenie, ale zwierzęcego postępowania łańcuckiego sługusa znieść nie mógł. To też po kilkakrotnem szarpnięciu sznurem przez Ilka, zdarł sobie pętlę z głowy.

Sługus pański ze złości zgrzytnął zębami, uderzył powrozem więźnia po twarzy, założył mu go ponownie na szyję i krzyknął wściekły do niego.

— Ręce ci spętam, jeśli raz jeszcze zdejmiesz sobie obrożę z karku.

Minęli miasto.

Pan Grzegorz zwiesił głowę i szedł już dalej środkiem drogi, cichy, zrezygnowany. Ilko wy-



mu krwią — nabrała koloru prawie siniego. Drżał cały od wybuchów gniewu, które przemocą tłumił w sobie. Jak ogromna żagiew zemsty — płonął cały, kiedy zaczerwienione oczy, ciskające gromy, skierował na pana Tulejkę.

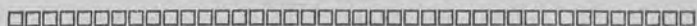
Po długich wysiłkach i daremnem cuceniu zabitego, powstali hajducy z ziemi i ręce bezradnie opuścili. Życia w Ilka tchnąć nie mogli; leb miał rozwalony do samego mózgu.

Stadnicki dał jakiś rozkaz oficerowi, a sam rozsiadł się w kolasie, głowę podparł na dłoni i pięście zaciskał, spoglądając na scenę jaka dalej się rozgrywała.

Na wzgórkach przy drodze, ustawili się półkolem hajducy Dyabła. W środek między nich, spędzono dziewięciu chłopów schwytanych na leżajskim zamku, którym nakazano, aby gołemi rękami kopali grób dla zabitego Ilka.

Biedacy spojrzeli po sobie niedowierzająco; ale kiedy w rękach łańcuckich hajduków ujrzeli podniesione nad sobą pałki, powrozy i rusznice, rzucili się do roboty.

Ziemia z wierzchu była rozmiękła, więc zrazu darli ją palcami jak mogli, aż pot kroplisty wystąpił im na skronie. Ale kiedy pogłębili dół nieco, i ziemia stawała się coraz bardziej zbita, praca okazała się prawie niemożliwą. Aż do żywego mięsa poranili sobie palce i pozdzierali paznokcie, mimo to hajducy przynaglali ustawicznie i nie szczydzili im razów.



nego sługę i towarzysza! Ty musisz za to gardło swoje dać! Dla ciebie obmyśliłem taki koniec, na jaki sobie sam zasłużyłeś! Do ostatniej chwili skonu, będziesz miał Ilka przed sobą, i nigdy już z nim się nie rozłączysz!

Grobowe milczenie zapanowało wokóło.

Pan Grzegorz pobladł lekko; dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. Duszę jego opanowała groza, pełna jakiegoś zamętu i okropnej martwoty. Teraz już wiedział, że wyrok nań zapadł nieodwołalnie, że straszna nieprzenikniona ciemność wnet nim zawładnie i kres jego życiu położy.

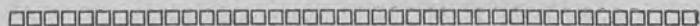
Ale nie lękał się wcale śmierci. On lękał się tylko tych mąk, jakie spodziewał się przechodzić. a jakie Dyabeł mu gotował.

Stadnicki gromy z oczu ciskał; pan Tulejka zaś nie spuszczać zeń swego wzroku, głosem spokojnym ale doniosłym odezwał się.

— Każ ze mną zrobić, co ci się podoba mości starosto zygwułski. Wiem, że minuty moje policzone, ale o łaskę prosić ani myślę, bo nie stać mnie na korne słowa, jak nie stać was na sprawiedliwość. Ubilem tego draba, bo człowieka we mnie uznać nie chciał, a że uczciwy żywot pędziłem, toć mam przecie prawo domagać się, aby mnie pański pachoł po ludzku traktował!

— Zamilcz mi leżajski slugusie, i nie nazywaj drabem zabitego, bo za to słowo zadławić cię zaraz rozkażę! — zawołał wściekły Dyabeł.

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
KRAJOWY INSTYTUT JĘZYKA I LITERATURY
POLSKIEJ, WARSZAWA



Podszedł ku oficerowi i dał mu jakieś zlecenie.

Wnet przypadli ku więźniowi hajducy, ręce mu w tył związali i zawlekli nad otwarty grób Ilka.

Pan Grzegorz stanął na nasypie ziemi i czekał spokojnie na dalsze swoje losy. Nigdzie wokół nie widział żadnych narzędzi tortur, więc nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jakie męki obmyślił dla niego Stadnicki.

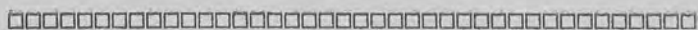
Chłopi, którzy grób wygrzebali, patrzali niepokojnie na skazańca. Lęk niewypowiedziany serca ich owładnął, a dusze grozą się napełniały, bo nad ich kochanym panem Grzegorzem -- który był dla nich przyjacielem i bratem — wyrok straszliwy zawisnął. Krążyła nad nim śmierć nieubłagana...

Stada wron nadciągnęły z oddala, zatoczyły wysoko wielkie koło i żałobne krakanie napełniło przestworza. Wiatr przycichły gdzieś pod lasem, zbudził się, żywo uderzył skrzydłami i chlusnął drobnym, deszczowym pyłem.

Stadnicki rozsiadł się w kolasie, głowę wychylił i oczy wlepił w leżąskiego bohatera.

Hajducy podeszli ku skazańcowi, aby mu nogi związać i — stosownie do rozkazu Dyabła — spuścić do wspólnego grobu z Ilkiem.

Pan Tulejka zrozumiałwszy teraz dopiero, że wraz z trupem, ma być żywcem pogrzebany — drgnął cały. Myśli jego zmaczone grozą strasliwej



śmierci, pograżyły go nagle w okropny lęk. Zatoczył oczyma w około, spojrział na klęczących i z bólem patrzących nań chłopów, potem zwrócił wzrok na swojego kata. W chaosie zwichrzonych myśli, na widok szyderczo uśmiechniętego Dyabła, w jednej chwili zatlily jaśniejsze błyski. Podniecony huraganem śmiertelnej grozy, podniósł głowę, hardo sporzał w oczy łańcuckiemu panu, i zawołał z całych piersi.

— Przeklęty bądź wcielony Dyable, za swoje piekielne pomysły, za te krzywdy wyrządzane sąsiadom i poddanym, za te niewinne wyroki śmierci i męki, które za sprawą twoją zostały dokonane!... Przeklęty niech będzie twój cały ród, starosto zygwulski!... Niech ci Bóg da tak haniebnie żywota dokonać, jak haniebnie go przepędziłeś!...

Głos skazańca grzmiał jak piorun, przenikał na wskroś słuchających chłopów, hajduków i żołnierzy, spływał im do serc gryzącą strugą rozpalonej lawiny i przerażeniem ogromnem napawał.

Wszyscy dech wstrzymali; milczenie zaległo w okół. Tylko wrony odzywały się wysoko swoim żalobnym głosem i wiatr zawodził głucho, miotając bryzgami wody.

Twarz Dyabła, słuchającego słów skazańca, stała się w jednej chwili biała jak papier.

— Zakopać tego psa! — wrzasnął wściekły, porywając się z kolasy.



— Przeklęty bądź! — odpowiedział mu jeszcze głos pana Tulejki, i zamilkł nagle w grobowym dole, dokąd zepchnęły go ręce hajduków.

Obrócono nieszczęśliwego twarzą do Ilka i wydano rozkaz chłopom, aby go własnymi rękami zagrzebali.

Płacz i głośny lament rozległ się między biedakami.

— Razem nas pogrzebcie, albo na śmierć ubijcie... ale my tego nie zrobimy... — zawodzili chłopci, łamiąc rozpacznie ręce.

Świsnęły sznury i pałki. Krzyki odezwały się w odpowiedzi.

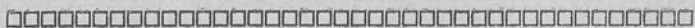
Ale nie pomogło teraz nielitościwe bicie i kopanie, nie pomogło nakłanianie do posłuchu; chłopci żywego człowieka grzebać nie chcieli.

Sami hajducy musieli się zabrać do tej roboty. Posypały się grudy ziemi... W dole ozwały się jeszcze kilkakrotnie stłumione słowa przekleństwa na głowę łańcuckiego pana, ale w krótkce umilkły...

Nogami ubijali grabarze ziemię i dosypywali co chwila nowej, aż urosła wkrótce wspólna mogiła, nad ciałami — okrutnika Ilka, i leżajskiego bohatera pana Tulejki*).

Zbici chłopci ruszyć się z miejsca nie mogli. Dyabeł rozkazał biedakom wyliczyć jeszcze spora ilość plag za nieposłuch, i zostawiwszy ich na pół żywych nad grobem, wyruszył w stronę Łańcuta.

*) Po dzień dzisiejszy znajduje się krzyż na tem miejscu.

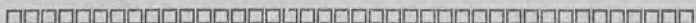


Zaledwie zniknęła w oddali zgraja Stadnic-
kiego, podniosło się kilku przytomniejszych chło-
pów, i poczęli rozdrapywać rękami świeżo usy-
paną mogiłę...

Ale daremny był ich wysiłek, bo pokaleczone
i osłabione ręce, odmówiły im posłuszeństwa...

Z łkaniem serdecznem, usunęły się znowu bez-
władnie na ziemię...





worska, wojewodziny Anny Ostrogskiej, oraz do starych swoich przyjaciół, Kostków i Ligezów.

W Leżajsku budziło się życie na nowo.

Wiadomość o strasznej śmierci pana Tulejki, podana przez obitych chłopów, pozostawionych przez Stadnickiego nad grobem, szczerym i serdecznym żalem przejęła wszystkich mieszkańców. Nie było w mieście nikogo, ktoby nie opłakiwał straty tego dzielnego obywatela.

Nawet sukiennik Zawada, który za sprawą pana Grzegorza, omal nie został ubity za to, że występował przeciw zarządzeniom zamku, zachodził z gromadą mieszczan za miasto na jego grób, i tam rozprawiał o zaletach nieboszczyka.

Raz, jeden z mieszczan podniósł myśl, aby zwłoki pana Grzegorza przeniesiono na cmentarz i nie dozwolono na to, aby we wspólnym grobie z łańcuckim katem był pochowany.

Ale zabobonni mieszkańcy gwałt zaraz podnieśli, i stanowczo się temu sprzeciwili. Najbardziej oponował przeciw temu Zawada.

— Niech spoczywa tam, gdzie go pogrzebali — dowodził uporczywie sukiennik — Zmarłemu zakłócać spokoju nie mamy prawa, a gdybyśmy go przenieśli na cmentarz, to upiór Ilka spokoju nam nieda, i domy nasze nocami nawiedzać będzie, żeśmy mu zabrali uczciwego towarzysza.

Mieszczanie kiwali na to głowami, i przytakiwali sukiennikowi chórem.



Kiedy raz u Dubiela sprawę tę poruszył Sze-
pelak, i począł dowodzić, że nie powinni baczyć na
przesady, tylko przenieść pana Grzegorza na cmen-
tarz, burza wszczęła się w całej oberży.

— Jak psa ubijemy tego, kto się poważy grób
naruszyć! — ozwał się pierwszy głos sukiennika.

— Ubijemy, albo też w miejsce Tulejki żyw-
cem zakopujemy! — zawtórował zabobonny Dzi-
dziński.

Za nimi podniosły się inne głosy.

— Nie pokropione trupy, nie godzi się ruszać!

— Nie godzi się, nie godzi!

— Niech w spokoju leżą!

— Gdzie ich pogrzebano, tam niech śpią!

— Upiory się ruszą, jeśli ich odgrzebiemy!

— Prawda, prawda, zaraz się ruszą!

— I spokojnych ludzi napastować nocami będą.

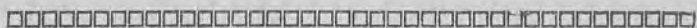
Szepelak mimo to dowodził uparcie, że dla sa-
mych zasług, jakie położył pan Grzegorz dla miasta,
powinni go odłączyć od trupa łańcuckiego hajduka.

Ale zakrzyczano go zaraz i nie dano mówić
o tej sprawie.

— Zasługi pan Grzegorz ma — przyznawano
chórem — ale nie godzi się go odgrzebywać, bo
upiory się ruszą!

Nie było rady.

Głosy Szepelaka i kilku przedmieszczan, nie
mogły zadecydować przeciw fali zabobonnych
mieszkańców.



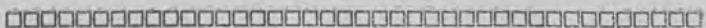
A nikt ze znaczniejszych w mieście w sprawie tej więcej nie przemawiał.

Wszyscy wierzyli głęboko, że odgrzebawszy pana Tulejkę, narażą się upiorom. Strach przed siłą pozagrobową, wziął górę nad oceną zasług nieboszczyka*).

Godlewski w naradach tych udziału nie brał. Chociaż bardzo wiele dłużen był nieboszczykowi, bo wierzył w to głęboko, że pan Tulejka, aby jego dla Anki salwować, sam umyślnie oddał się w ręce łańcuckiej zgrai, nie mógł nawet odwiedzić grobu nieszczęsnego towarzysza. Noc bowiem, w której umykał z zamku leżajskiego z panem Grzegorzem, nabawiła go nowej choroby, i przykuła do łoża.

Anka była niepoczieszona. W domu niedomagala jej matka, przy której musiała spędzać dnie i noce, a ukochany znów zmagał się z cho-

*) O zabobonach, jakie panowały w tym czasie, świadczy fakt następujący: W roku 1618 umarł Kołaczkowski. Przed śmiercią swoją zapisał — za troskliwą opiekę — cały dom gospodyni swojej Mielczarkowej. Dwaj synowie Kołaczkowskiego przebywający w Jarosławiu, wysłali zaraz do Leżajska prokuratora Ślepowońskiego, który przed ławicą oskarżył Mielczarkową, że drogą czarodziejskich, tajnych i nieczystych praktyk, miała wyłudzić ten zapis na umierającym. Wyrokiem ławicy — skazano biedną kobietę na spalenie na stosie. Egzekucyi dokonali sami mieszkańcy. W tem miejscu znajduje się do dnia dzisiejszego kapliczka św. Jana Nep. patrona dobrej sławy — postawiona przez męża nieszczęśliwej ofiary. Obszerny opis o tem pomieściłem w dodatku literackim do Kuryera lwowskiego p. t. „Na naszej ziemi“ — Nr. 19. z r. 1911.



robą, i nie wielką nadzieją ją pocieszano, czy zdoła on jeszcze kiedy zdrowie odzyskać.

A obecnie, tak czuł się Godlewski wyczerpany na siłach, że obojętni mu były wszystkie wieści, które znosił z miasta stary ojciec. Wieczorem popadał chory często w gorączkę. A wtedy mówił jakieś niezrozumiałe słowa, to znów przywoływał Ankę, albo też prowadził układy z nieboszczykiem panem Grzegorzem, o to, kto ma się oddać w ręce łańcuckich żołnierzy, a kto ma tymczasem umykać z wałów zamkowych.

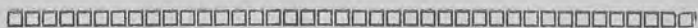
Odwiedzali go często przyjaciele, zafrasowani jego chorobą, a nawet i sam Czerski, wróg niegdyś i rywal, począł zachodzić do chorego z odwiedzinami. Wspólna wszystkim dola, pod bokiem rozsierzzonego Dyabła, pogodziła nawet poważnione umysły.

I tak mijały tygodnie.

Zima przyniosła dla całej okolicy nędzę i głód. Nie stało w domach ni zboża, ani też paszy dla bydła, bo chciwa ręka Dyabła, zagarnęła wszystko do Łańcuta.

Za staraniem Opalińskiego, który wspomagany materyalnie przez sąsiadów i przyjaciół, robił ustawicznie nowe zaciągi wojska, poczęły iść z pomocą biednej ludności okoliczne dwory

Ale Stadnicki, skoro tylko dowiedział się o tem, porzucił zaraz swoich ludzi, aby strzegł dostępu do wsi leżajskiego starostwa. Więc ładowne



wozy z żywnością, które przyjaciele Opalińskiego stali do wsi nawiedzonych głodem, poczęli grabić ludzie łańcuccy.

Wzmagala się bieda, grasowały słabości głodowe, lud bezradny opuszczał z rezygnacją ręce i czekał, kiedy śmierć nadejdzie i kres całej biedzie położy.

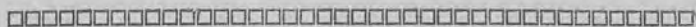
Z wczesną wiosną, kiedy śniegi nie poginęły jeszcze zupełnie, stan Godlewskiego począł się pogarszać. Suchy kaszel nim wstrząsał, żarła go gorączka, powoli nikał w oczach. Nadziei w wyzdrowienie mimo to chory sam nie tracił.

— Niech tylko słońce i ciepło nastanie, zaraz wzmożę się na siłach— mówił raz do Anki, która patrząc na niego, łzami się dławiała i przemocą siliła się na spokój, aby nie wybuchnąć gwałtownym płaczem.

Siadła przy jego łożu, a on, wziął jej rękę, położył ją sobie na rozpalonem czole i przymykając oczy, mówił przyciszonym głosem

— Wiosna idzie już Anuś... wiosna... a z nią ciepło, słońce i zdrowie dla mnie... Podźwignę się jeszcze do życia, tak, jak za twojem staraniem dwukrotnie już do życia powracałem... Wiosna idzie... a z nią, zbliża się dla nas szczęście, po tylu dniach smutnych i gorczy pełnych...

Leżał na wznak, gorączką rozpalony i przyciskał sobie jej rękę do czoła. Lekki uśmiech igrał na jego twarzy.



— Szczęście dla nas uśmiecha się jeszcze... wróci wiosna i słońce... a wtedy staniesz się moją... bezgranicznie moją... tak dawno upragnioną... Za te starania i umartwienia twoje, za to źródło szczęścia, które w tobie znalazłem, będę całował ślady twoich stóp... moja ty serdeczna, nad wszystko umiłowana dziewczyno...

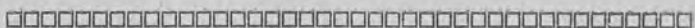
A w niej serce poczęło się targać w przekropnym bólu i dreszcze rozpaczy wstrząsały ciałem, bo wiedziała, że przed nim raczej grobowa droga, a nie ślubny kobierzec się ściele.

Chory usnął; a ona odjęła rękę od jego czoła, podniosła się i zapatrzyła w jego schorowaną twarz z ceglastymi wypiekami. Długo tak stała; gwałtowne wybuchy płaczu poczęły wstrząsać jej piersiami, ale zacięła silnie zęby i jak głaz steżała bez ruchu. Po chwili pochyliła się nad nim, zimne swoje usta przytknęła do jego czoła i cicho wysunęła się z komnaty.

Za drzwiami dopiero, zadrżały silnie jej piersi, fala łez serdecznych rzuciła się z oczu, i wybuchnęła głośnym płaczem.

Dni stawały się coraz cieplejsze.

Z budzącem się słońcem zdawało się, że i zdrowie wraca w schorowany organizm Godlewskiego. Jakieś nowe siły poczęły napływać w jego członki, pierś swobodniej oddychała, nie uczuwał żadnych boleści, a nawet począł coraz częściej wychodzić na powietrze.



— Anuś... Zdrowie i szczęście dla mnie wraca... — szeptał do dziewczyny, tuląc jej rękę w swoich dłoniach.

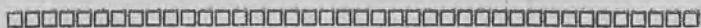
W słońcu, pod kwitnącą jabłonią, siedzieli raz oboje na ławce.

Wiośniane duchy rozpostarły nad nimi na gałęziach welony kwiecia. Jak w obłoku, prześwietlonym jasną poświatą, pełnym odurzającej woni, wdychał cicho wietrzyk, ptasie drużyny i roje pszczół rozsypane w różowej wonnej mgle, przygrywały do wtóru tajemnym poszeptom zefiru, który strzepywał na głowy obojga białe płatki, jak łabędziowe puchy, jak łzy zachwytu, szczęścia i miłości, kryształne łzy kryjące się w serc jasnościach...

— W duszy mi szczęście i rozradowanie rośnie... — ozwał się cicho Godlewski — mam nadzieję, że będę jeszcze żył z tobą, ty wiosno.. kwiecie życia... i światło oczu moich... Przez żywot cały ze mną chodź... bądź dla mnie gwiazdą przewodnią... prowadź moje kroki drogą kwiatów i gojących zórz... a będzie to życie dla mnie marzeniem i snem uroczym...

Anka wdychała cicho. Chociaż słuchała tych słów i uśmiechała się do niego, mimo to niewiara w jego wyzdrowienie prześladowała ją ustawicznie.

Łez miała pełną duszę i serce zalane niemi po brzegi. Miotaly się w niej i burze uczuć, mgławice tęsknot i niepokojów, i wichry męki serde-



cznej. Za cenę własnego życia byłaby odkupiła dla niego zdrowie. Patrzała nań wzrokiem bezbrzeżnego smutku, i garnęła go ku sobie kanwulsyjnym uściskiem, jakby w obawie, aby go jej nie zabrano. Pozornie jednak tajiła przed nim wszystkie trwogi i obawy, jakie serce jej opanowały.

O Stadnickim rzadko tylko kiedy padało teraz między nimi jakie słowo. Dziewczyna unikała tego nazwiska, bo wiedziała, że samo wspomnienie o Dyable, dziwne błyski wywoływało w oczach chorego, który podniecał się zaraz i wypieki wykwiwały mu żywo na policzkach.

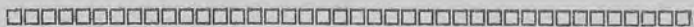
— Stadnicki, sprawca tylu klęsk i nieszczęść, winien jest mojej choroby! — zawołał raz z mocą, zaciskając silnie pięści.

Anka nie widziała nigdy w życiu tego straszliwego, łańcuckiego pana; znała go tylko z licznych opowiadań, to też wstręt i pogardę uczuwała do niego za wszystkich pokrzywdzonych. Ale nienawiść szczerą, wzbudziła się w niej dlatego głównie, że z winy jego tyle musi cierpieć jej ukochany.

— Winien temu Stadnicki... Dyabel!...

— Boże, Boże! — szeptała dziewczyna — jeden człowiek, tyle wyrządził ludziom zła, a nikt nie ma mocy, aby ukrócić jego samowolę, albo w odwecie odpłacić mu się za wszystko równie dotkliwie?

— Nikt?



I zmagala się z tą prześladowającą ją myślą, że nie potrzeba przecie na to wojsk, ani też zamków obronnych, nie potrzeba niszczących ludność wojen, ani też bitew, aby usunąć takiego szkodnika z grona ludzi żyjących.

— Jeśli mają ze sobą jakie porachunki, to niech Stadnicki z naszym starostą sami się rozprawią — rzekła raz do starego, ojca Godlewskiego.

— Masz słusność córko — odparł jej zagadnięty — ale starosta Opaliński postąpił już tak, jak myślisz, aby tym nieszczęściom kres położyć i wezwał go listem na pojedynek — na dwór króla; ale Dyabeł w odpowiedzi, zelżył go za to listownie i nie stawiał się.

— Czy się uląkł?

— Nie wiem, może, ale nie stawiał się.

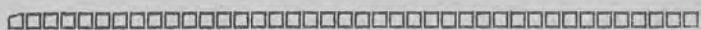
— Nie stawiał się. Więc wolną ma rękę do zbrodni i rabunku, a czyż król nie może użyć swej mocy, aby go pokonać?

Stary w milczeniu wzruszył ramionami.

W parę dni później, uczuł się Godlewski niezwykle wyczerpany. Rumieńce, które zakwitwały mu dawniej na policzkach zniknęły, a cera, przybrała kolor wosku. Dziwny niepokój go opanował.

Kiedy weszła Anka, uśmiechnął się gorzko, wzrok w niej zatopił i długo pochłaniał ją oczyma. Wziął jej rękę i do ust przycisnął.

— Nie dla mnie świeciło to słońce... nie dla



szonych do króla i wpływowej szlachty, aby wzięli go w obronę i do zgody między nim a Opalińskim doprowadzili, nie zamierzał on wcale na seryo zawierać pokoju. Chodziło mu tylko o to, aby uzyskać zwłokę na kilka miesięcy, zanim nie przybędą mu z pomocą nowe zastępy sabatów od Gabryela Batorego z Siedmiogrodu.

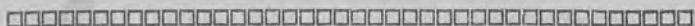
Ale oczekiwane posiłki z Węgier nie nadchodziły, mimo, że wielkie sumy łożył na nie i słał ciągle gońców, aby z marszem się śpieszono.

Tymczasem Leżajsk i okopy za miastem przybrały charakter wielkiego obronnego obozu. A fantazyja i ochota do bitki rosła pośród żołnierzy ustawicznie, bo wiadomość o szczupłych siłach Dyabła podniecała ich umysły.

Oberża Dubiela dniem i nocą rozlegała krzykami i śpiewem starszyny wojskowej, która w najlepszej zgodzie zabawiała się z mieszczanami, gromadzącymi się tutaj dawnym zwyczajem.

Ale brakło tu już pana Tulejki, jego przemówień i świątłych rad. Teraz przewodził zwyczajnie sukiennik Zawada, który coraz wytrwalej zaglądał w ostatnich czasach do szklanicy, i żalił się zawsze na upadek rycerskiego ducha, i brak łączności między leżajskimi mieszczany.

Na zamku nie poczynał Głuchowski żadnych zarządzeń obronnych. Nie miał w tym kierunku rozkazów od starosty, bo napad Dyabła nie był



teraz wcale przewidywany. Spotkanie z nim, gotowano snąć w innym miejscu.

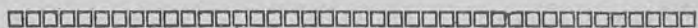
Anka od śmierci Godlewskiego, zmieniła się prawie do niepoznania. Kiedy dawniej, oprócz ukochanego burmistrza, nikt więcej poza domem jej nie obchodził, teraz wszystko poczęło ją żywo interesować, co dotyczyło wyprawy przeciw Stadnickiemu. Znała wszystkich dowódców, słuchała chętnie ich narad, jakie prowadzili u jej ojca na zamku, udawała się często do okopów za miasto, gdzie ruch i przygotowania do wyprawy były w pełnym toku.

Ale choć smutek stale gościł na jej czole, zawsze gniew budził się w jej piersiach i oczy rozpałały się żywym płomieniem, jeśli kto kiedy wymienił przy niej nazwisko Stadnickiego. Tyle napłakała się już w życiu, tyle smutków i burz przemknęło przez jej serce, że dobrze zahartowała się na dalszy żywot — w tych bólach i zawodach. Nie roniła już łez, nie rozpamiętywała nad swoją niepowetowaną stratą, tylko powtarzała sobie zawsze słowa zmarłego:

— On... Dyabeł... temu winien!...

I z jakimś błyskiem zadowolenia w oczach, przypatrywała się żołnierzom, którzy gotowali broń przeciw temu, za którego sprawą tyle nieszczęść spadło na całe leżajskie starostwo.

Wierną towarzyszką Anki, była teraz zawsze Iwonka, która od czasu wyjazdu Grabińskiego,



pozostawała nadal na zamku. I jak dawniej za życia Godlewskiego, niejednokrotnie zdradzała Anka przed nią swoje serdeczne tajemnice, tak teraz Iwonka w zaufaniu, spowiadała się ze swoich myśli i uczuć, jakie właśnie przeżywała.

Iwonka — kochała się.

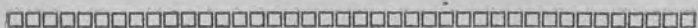
Na śmierć nabiła sobie głowę Wasylem Szowleżą, urodliwym kozakiem z oddziału ks. Ostrogskiej, gotującego się w mieście przeciw Stadnickiemu.

Anka siedząc wieczorem na ławce w wirydarzu, słuchała często długich wynurzeń swojej towarzyszki, i wtedy łzy perliły się jej w oczach i gęsto spływały po twarzy, bo własne wspomnienia minionych, a nigdy nieziszczonych snów, sercem jej szarpały.

Skoro Iwonka łzy jej raz obaczyła, przeraziła się wielce.

— Mościa panno... wybaczcie mi łaskawie moje słowa... nie będę więcej mówiła o tem — poczęła zawodzić obejmując jej kolana.

— Mów dalej... mów... — poderwała żywo Anka. — Okruchami wspomnień, minionych, szczęśliwych chwil teraz tylko żyję... Nie szczędź mi tych łez, które opowiadania twoje wywołują, bo lżej mi stokroć wspominać ze łzami minione dni jasne, jak ze śmiechem rozmyślać o przyszłym swoim losie...



a sam, z garstką żołnierzy ruszył do zamku w Rybotyczach. Spodziewał się, że będąc bliżej granicy węgierskiej, prędzej doczeka się tam przybycia posiłków.

Wiadomość ta poruszyła cały obóz leżajski. Ogłoszono natychmiast wymarsz w stronę Jarosława, aby czemrychlej przeciąć drogę Stadnickiemu i przeszkodzić mu w połączeniu się z posiłkami węgierskimi.

Lato było upalne, więc pod noc wybierały się wojska w drogę.

Wieczorem wpadła Iwonka do Anki.

— Zaraz odchodzą — szepnęła zdyszana, ocierając zapłakane oczy.

— Zaraz?

— Tak, za chwilkę. Chciałam jejmość pannę jeszcze prosić...

— O co Iwonko?

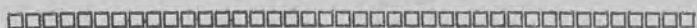
— Na miasto chciałam iść... pożegnać się z Wasylem...

— Dobrze, pójdę także z tobą. Przywołaj Karasia.

Niebawem pośpieszyły do miasta obie, a za nimi podążył stary odźwierny.

Na rynku panował wielki gwar. Tłok ludzi, koni i wozów był tak wielki, że ledwie można było się przecisnąć.

Karaś wysunął się naprzód i torował drogę.



W kilku miejscach na ziemi płonęły ogniska, na wysokich żerdziach paliły się umocowane smolne szczapy drzewa i słabo rozświetlały mroki, w których przewijały się stłumione masy ludzi.

Karaś wiódł obie dziewczyny przez rynek. Wnet znaleźli się u wylotu ulicy, gdzie stał gotujący się do drogi oddział kozaków. Iwonka zatrzymała się przy dowodzącym, Anka zaś i Karaś, podążyli dalej i dopiero opodal od tłoku gawiedzi zatrzymali się.

Za małą chwilę zjawiała się przy nich Iwonka, z wysokim, barczystym kozakiem, o dużych jak miotły wąsach, odzianym w szerokie — jak worki — hajdawery, dużą czapę i poza kolana sięgające buty.

Kozak Ance do nóg się pokłonił.

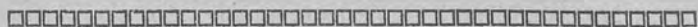
— Dyabła ślubowałem ubić, aby mu krzywdę waszą zapłacić — ozwał się nieśmiało, wpatrując się w dziewczynę.

— A Iwonki nie żal wam porzucić, nie strach wam teraz na wojnę iść, a ją samą zostawić?

Westchnął Szowleha i czapkę począł miąć w dłoniach w wielkiem zakłopotaniu.

— Żal wielki panienko... ale inaczej nie chcę jej brać, dopóki przysięgi nie dokonam... Matce Bożej ślubowałem wpierw Dyabła ubić — za krzywdę waszą...

Pochylił się Wasyl Ance do kolan, pochyliła się i Iwonka.



— Tylko dla mnie zachowajcie panienko Iwonkę... może wrócę... — szepnął cicho kozak.

— Bądźcie spokojni... Z otwartem sercem powita was ona, kiedy wrócicie do nas... Boże prowadź wasze kroki...

Rozplakała się Iwonka, głowę spuścił smutno Wasyl.

Stali tak chwilę w milczeniu.

Naraz ozwał się w dali gwizd. Kozak drgnął, porwał dziewczynę w ramiona, do piersi silnie przycisnął, czapką do ziemi Ance się pokłonił i pobiegł do swoich.

W rynku panował ruch wielki. Ruszyły już wojska w drogę, warczały bębny, rozlegały się nawoływania dowodzących.

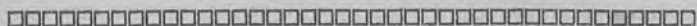
Naraz na granatowym tle nieba, jasno błyszczące gwiazdy posypały się gęstym deszczem...

— Dobry znak! — zawołał ktoś w gromadzie.

— Na pohybel Dyabłu! — huknęli kozacy.

— Na pohybel, na pohybel!





Szczęsnego Herburta, uspokoił się nieco. Liczył bowiem na to, że mając pod bokiem przyjaciela, w każdej niebezpiecznej chwili znajdzie u niego schronienie i pomoc. Dlatego też całkiem swobodnie rozgościł się we dworze tarnawskim.

Zapadła ciepła, pogodna, sierpniowa noc. Uciszyło się we dworze, posnęły rozstawione strażę.

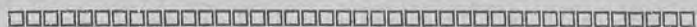
Dyabeł znużony długą włóczęgą, usnął snem kamiennym, i śnił sobie o licznych zastępach sabbatów, które szły mu na pomoc i niosły zagładę wszystkim Opalińszczykom.

Na polach w okół dworu, wałęsał się lekki wiatr, przyczajał się chwilami na miedzach, to znów budził się i włókł ścierniskami, wydając jakieś dziwne, tajemne szmery. Wypogodzone, bezksiężycowe niebo, wyiskrzzone rosą gwiazd, jak olbrzymi baldachim przykrywało uśpioną ziemię.

Paręset kroków od dworu, między gąszczem leszczyny pochylonej nad potokiem, stały uwiązane konie, a obok nich kilka ciemnych postaci, wiodących ze sobą tak cichą naradę, że szept ich głośniejszy nie był od lekkiego szmeru wiatru, błakającego się nad polami.

Naraz, jedna postać przypadła do ziemi i poczęła czołgać się w stronę dworu, inne, usiadły w milczeniu i oczy w dal zatopiły, wsłuchując się w tajemne poszepty nocy.

Po długiej chwili starszy z gromady ręce do ust przyłożył, i donośny głos puszczyka rozległ



się wokoło. Ledwie przebrzmiał smętny gwizd, daleko pod lasem odpowiedział mu podobny drugi, potem trzeci, wreszcie cisza rozlała się wokoło.

Po lesistych wzgórzach milkły wołające się echa; na tle wypogodzonego nieba wyiskrzzonego gwiazdami, majaczyły w dali mury zamku na ogromnym kopcu, z przeciwnej zaś strony migotało kilka światełek z oddalonego Dobromila.

Długo trwał spokój zupełny. Dopiero kiedy świt jał krasieć wschodnią połąć nieba, i kiedy z mroków wyłaniać się poczęły wyraźniej kształty zabudowań tarnawskiego dworu, nad potokiem — między gromadą tajemniczych postaci — ruch ożywiony zapanował.

W gromadzie tej — przewodził Szowleha.

Z pobliskiego lasu — wzdłuż potoka wijącego się między kępami leszczyny, wysuwali się pojedynczo kozacy, na niskich krępych koniach, i grupowali się obok swojego dowódcy, który wydawał im rozkazy.

Kozak, wysłany nocą pod dwór na zwiady, przyczołgał się i przed Szowlehą sprawę zdawał.

Poruszyli się wnet jeźdźcy. Jedni pomknęli kłusem prosto w stronę bramy dworskiej, inni zaś, poczęli dwór obchodzić od tylnych zabudowań. Cicho, bez rozgłosu, odbywały się te ruchy wysłańców Opalińskiego, otaczających siedlisko łańcuckiego Dyabła.

Już powstał ranek w całej swojej sierpniowej



krasie, i słońce rozrzuciło po ziemi szcudrze promienne snopy, kiedy na dziedzińcu dworskim dał się słyszeć skrzyp żurawia i głosy służby Stadnickiego.

Naraz od tylnych zabudowań ozwały się strzały z rusznic, i wrzask z kilkunastu gardzieli. Na dziedzińcu wszczęło się zamieszanie; dwór cały począł rozbrzmiewać nawoływaniem, pobudzone straże rzuciły się do broni.

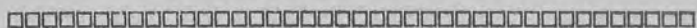
Przez wywaloną bramę, poczęli kozacy pchać się na dziedziniec i okrążyć dwór i szopę, skąd garstka żołnierzy Dyabła podjęła zaraz zacieklą obronę. Jeden z atakujących naniecił już ognia, i chciał podpalić nim dach dworu, ale Szowleha przeszkodził mu w tem. Zadudniły więc siekiery, drzwi ugięły się wnet pod silnym naporem i kilku kozaków wpadło do środka.

Zawrzało teraz jak w ulu. Szczęk żelaza, szamotania i krzyki, zlały się w jedną piekielną muzykę.

Tylne drzwi budynku rozwarły się naraz, i zbita masa żołdaków i dworskiej czeladzi, wypadła z wnętrza, rzucając się do ucieczki.

— Dyabeł umyka, Dyabeł! — huknęły liczne głosy kozaków.

Między umykającymi był rzeczywiście i Stadnicki, który obudzony ze snu, porwał się w biegnie z łóżka, przedostał się do stojących na dzie-



dzińcu kozackich koni, i wskoczywszy jednemu na grzbiet, pomknął przez bramę w pola.

Kozacy, poznawszy łańcuckiego pana, z krzykiem rzucili się do pościgu.

— Bij, zabij Dyabła! — wołały liczne głosy.

— Żywcem go brać! — krzyczał ktoś z gromady.

Rozpoczął się pościg.

Kozacy mknęli jak strzały, w ślady umykającego, który okładając konia z całej mocy, kierował się ku zamkowi Herburta. Tam jedynie, spodziewał się teraz pomocy.

Przestrzeń między Stadnickim, a ścigającymi, poczęła się powoli zwiększać.

Gęsty las, okalający zamek, stał już w pobliżu, cały w potokach pogodnego słońca skąpany.

Naraz, padł wystrzał z półhaka Szowlehy.

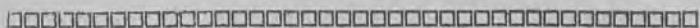
Dyabeł zachwiał się na koniu, pochylił się na bok i całym ciężarem zwałił się na ziemię.

Kozacy krzyk podnieśli, konie wstrzymali, zeskoczyli na ziemię i otoczyli Stadnickiego.

Ten próbował się jeszcze zerwać i umykać, ale wysiłek był daremny.

Chwycił tylko za lufę rusznicy, którą umykając porwał ze sobą, i począł się opędzać przed napastnikami, starającymi się go skrępować. Kilka spis dosięgło go jednak, i wnet pozbawiły życia*).

*) Szowleha zabił Stadnickiego 20. 8. 1610 r.



Drgał jeszcze w śmiertelnej agonii, kiedy Szowleha odciął mu głowę, nadział na spisę i z tryumfem powiózł w stronę dworu, gdzie powitali go z wrzaskiem pozostali kozacy.

I padła sromotnie moc łańcuckiego pana.

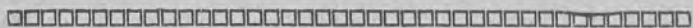
Prosty kozak, morderczą bronią pozbawił go życia, i położył kres samowolnym wybrykom okrutnika, będącego postrachem dla swoich poddanych i sąsiadów.

Z tą chwilą kończył się werbunek sabatów i rabunkowych band, niosących zniszczenie między ludem, milkły łańcuckie kaźnie, rozlegające się dotychczas łkaniem i jękami nieszczęśliwych, i wolniej już miały oddychać piersi tych wszystkich, których gnębiła myśl o bezkarnych okrucieństwach zygwulskiego starosty.

Kozak Szowleha dotrzymał ślubowania Iwonce. Podjazdami wytropił i zgładził okrutnika w tym czasie właśnie, gdy ten pod boki przyjaciela Herburt, czuł się najbardziej bezpiecznym, i każdej chwili spodziewał się nadejścia węgierskich sabatów.

I kiedy Opaliński gotował się już do ostatecznej krwawej rozprawy ze swoim sąsiadem, troskając się o to, aby przeszkodzić w połączeniu się z posiłkami węgierskimi, przynieśli mu kozacy trupa łańcuckiego pana, aby potem sam w grodzie zaświadczył o sobie, że już nie żyje, i że skończyła się jego samowola i tyraństwo.

* * *



W Leżajsku — nastął dzień dziwny. Jakby na doroczny wielki odpust lub jarmark, zjechał się mnogi lud wioskowy. Całe miasto przybrało odświętny wygląd. Mieszczanie, którzy przyszli nieco do siebie, po rabunkowym napadzie łańcuckiego pana, zgromadzili się licznie na rynku i ulicach, radząc z pogodnie rozjaśnionymi twarzami. Wesołość biła wszystkim z oblicza, jakiej nie widziano dawno, wśród mieszkańców miasta i okolicy. Podawano sobie z usta do ust jakieś ciekawe wieści, które każdy rad słuchał i rad się z drugimi dzielił.

Uderzył dzwon kościelny, jedyny, ocalony od rabunkowej gospodarki Dyabła w mieście.

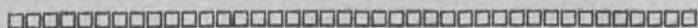
Fala ludzi ruszyła do kościoła, który wnet zapełnił się po brzegi.

A wtedy wyszedł na kazalnicę ksiądz Prokop. Z twarzą pogodną, rozjaśnioną, ogarnął oczyma mnogi lud i podnosząc głos, począł mówić donośnie.

— Bóg wysłuchał wierne sługi swoje... położył kres nieprawościom... i pobił nieprzyjacioły nasze... Dyabeł Stadnicki nie żyje!...

Jakby srogi, przygniatający ciężar, spadł nagle wszystkim zgromadzonym z piersi; głębokie westchnienie ozwało się w całej świątyni.

I prawil ksiądz dalej o dawnem wyzyskiwaniu ludu przez zamek, o ciężkich przejściach miasta i okolicy, jał wspominać zasługi pana Tulejki, burmistrza Godlewskiego i wielu innych, którzy życie lub mienie postradali z winy łańcuckiego pana.



A lud wzdychał i łzy ocierał, rozpamiętywując zasługi nieżyjących już obywateli.

Kiedy zaś po kazaniu, kończył miejscowy ksiądz odprawiać nabożeństwo, przy drzwiach wchodowych ruch zrobił się nie mały.

Bo oto weszli ślubować sobie dozgonną miłość przed ołtarzem — dziarski, urodziwy Szowleha ze strojną Iwonką, a za nimi jawili się Głuchowski z Anką, dalej szli Czerski, Dzidziński, Grabiec i Zawada, a w tyle, nie brakło też i starego Karasia, który z całą służbą zamkową chciał być także świadkiem ślubnego obrzędu.

I rozweselone były wszystkich serca i oblicza, bo skończyło się włodarstwo Dyabła i spokój miał wrócić na nowo.

Tylko twarz Anki, smutną dziś była i poważną, a łzy świeciły jej w oczach.

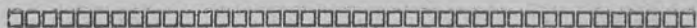
Wnet odbyła się ceremonia zaślubin, i świątynia poczęła się opróżniać. Młodzi, oraz weselni goście odeszli, pociągając za sobą całą zebraną ludność.

Świątynia pustką zaległa.

Przez pobite szyby, pęk promieni słonecznych wdarł się do wnętrza, i złocistą aureolę rozniecił nad głową umęczonego na krzyżu Chrystusa.

W kościele pozostała sama Anka, które przed krzyżem na kolana padła.

Ślub Iwonki, poruszył w niej dawne wspomnienia. Te, niewyplakane jeszcze całkiem łzy, po-



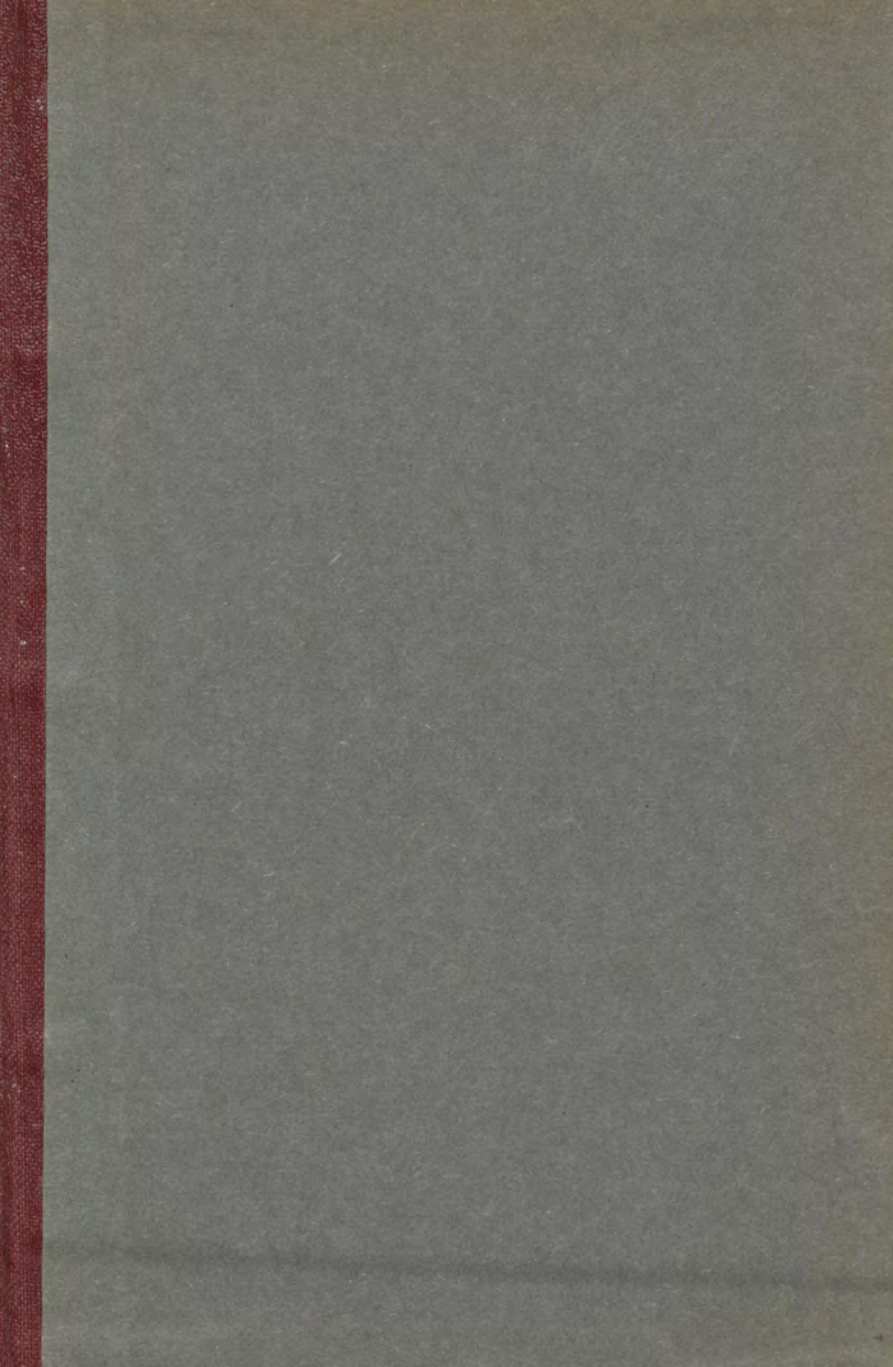
zostałe na dnie serca, dławiły ją dziś i gwałtem cisnęły się do oczu... Dawne, wymarzone miraż szczęścia, ustąpiły miejsca mgławicom serdecznych tęsknot, po snach nigdy nieziszczonych... Złamana zawodami, przygnieciona żałobą po ukochanym, przez łzy patrzyła na szczęście Iwonki... Więc smutki swoje i serdeczne bóle, składała teraz w ofierze Temu, który najlepiej znał tajniki jej przesmutnej duszy... W ciszy kościelnej rozlegał się jej płacz i westchnienia, a szept modlitwy, przypadał do stóp ukrzyżowanego Chrystusa, który na swojej świętej męce szeroko rozpostarł ramiona, i zdawał się błogosławić tej złamanej dziewczynie, która przyszła doń po pociechę i serca pokrzepienie...

.

Nie długo potem, pozostawała jeszcze Anka przy ojcu swoim na zamku w Leżajsku.

Anna Opalińska — żona leżajskiego starosty — zabrała ją w rok później do Wielkopolski, gdzie wyszła za bogatego kupca Jacka Strumieńskiego.







R

1998

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

RD-1998



002-0002245-00